

# DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VIII

Warszawa, 20 stycznia 1952 r.

Nr 3 (321)

Janusz ZABŁOCKI

## Człowiek — jednostka i osoba

NARESZCIE personalizm tomistyczny zagościł w sposób bardziej stały na łamach pism katolickich. Po obszernych artykułach Aleksandra Rogalskiego w „Życiu i Myśli” oraz Stefana Świeżawskiego w „Znaku”<sup>1)</sup> zagadnienie tomistycznej koncepcji człowieka stało się tematem dyskusji w serii artykułów, drukowanych w „Tygodniku Powszechnym”<sup>2)</sup>. Dyskusja dotyczy dotychczas używanego w filozofii tomistycznej sformułowania, że człowiek jest zarazem jednostką i osobą. Stanowisko krytyczne wobec tradycyjnego ujęcia reprezentuje ks. Wincenty Granat, będąc — jak się wydaje — bliski w tej kwestii poglądom O. Inocentego Bocheńskiego. Przeciwnie — Karol Górski i ks. Jan Piwowarczyk bronią klasycznego rozróżnienia osobowości i jednostkowości w człowieku, podkreślając jego użyteczność dla poznania pełnej prawdy o człowieku. Ten spór — mimo pozorów jego abstrakcyjności — ma przecież szereg poważnych konsekwencji praktycznych, dlatego wypada mu poświęcić uwagę.

KLASYCZNA NAUKA O JEDNOSTCE I OSOBIE.

RSIADZ J. Piwowarczyk stwierdza, że zwolennicy rozróżnienia w człowieku jednostkowości i osobowości „mają za sobą wielki autorytet tomistyczny, bo Jacques Maritain”. Istotnie, rozróżnienie to znajduje w pismach tego myśliciela pełną ekspozycję. Na czym ona w głównym zarysie polega?

Za podstawę klasycznej nauki tomistycznej, różniącą w człowieku dwa aspekty formalne — jednostkowość i osobowość — służą dwa znane, pozornie z sobą sprzeczne, teksty ze św. Tomasza. Tekst pierwszy brzmi: „Quaelibet persona singularis comparatur ad totam communitatem sicut pars ad totum” — „każda poszczególna osoba jest w takim stosunku do całej społeczności jak część do całości”<sup>3)</sup>. Treść tekstu drugiego: „Homo non ordinatur ad communitatem politice secundum se totum et secundum omnia sua” — „człowiek nie przynależy do społeczności politycznej całej i wszystkim co do niego należy”<sup>4)</sup>. Interpretując myśl zawartą w tych dwu fragmentach „Summy”, Maritain wyklada następującą doktrynę: „Człowiek nie jest wyłącznie osobą, tzn. nie jest on jedynie samodzielnym bytem duchowym, jest on także jednostką, tzn. ujednostkowionym fragmentem rodzaju. Skutkiem tego jest on członkiem społeczności jako jej część”<sup>5)</sup>. Ale ta wykładnia

pierwszego z przytoczonych tekstów nie wyczerpuje jeszcze całej prawdy o człowieku, znajdując uzupełnienie w tekście drugim: bo „oto słowa, które uzupełniają ten tekst i pozwalają ogarnąć całość zagadnienia: człowiek, mówi także św. Tomasz, ma w sobie życie i dobra, które wychodzą poza społeczność polityczną. Dlaczego? Dlatego, że jest osobą. Osoba ludzka jako członek społeczeństwa jest jego częścią jako większej całości — lecz nie jest nią pod każdym względem, tzn. nie wchodzi w społeczeństwo jako jego składnik ze wszystkim, czym jest i co posiada. Ognisko jej życia osobowego wznosi ją ponad społeczność doczesną”<sup>6)</sup>. Wyrażając to zwięźle i wprowadzając niezbędną terminologię otrzymujemy formułę: „Osoba ludzka jest członkiem czyli częścią społeczeństwa politycznego, ale nie mieści się w nim cała i ze wszystkim, co do niej należy. Jest ona członkiem czyli częścią dzięki cechom jednostkowości, której piętno nosi w sobie”<sup>7)</sup>.

Lub w formie bardziej wulgarniej, ale potocznie przyjętej: Człowiek jako jednostka mieści się w społeczności, jako osoba ponad nią wyra-  
sta.

Ta klasyczna formuła budzi dzisiaj u niektórych myślicieli katolickich obawy i wątpliwości. Główne obawy wiążą się z tym, że rozróżnienie to w postaci, w jakiej było często rozpowszechnione, mogło prowadzić do sztucznego rozbicia ontologicznej, ciałno-duchowej jedności człowieka, dzieląc go na jakieś dwa odrębne składniki, podczas gdy — jak podkreśla ks. Granat — „człowiek nie stanowi sumy jednostki i osoby, jest on bowiem całością materialno-duchową”.

Doceniając użyteczność konstrukcji myślowych, wyodrębniających w człowieku różne dziedziny życia, równocześnie ks. Granat protestuje przeciw takiemu abstrakcyjnemu kawałkowaniu, które by mogło doprowadzić do wniosków sprzecznych z ontologiczną jednością człowieka jako istoty ciałno-duchowej.

Trzeba przyznać, że te „rewizjonistyczne” wobec ujęć tradycyjnych tendencje, aczkolwiek mogą być przedmiotem wątpliwości i dyskusji, nie są pozbawione podstaw. Istotnie — dotychczas panujące rozróżnienie między „jednostką” a „osobą” w człowieku, mogło nastroić pewne nieporozumienia i niebezpieczeństwa. Przyznając, że istotnie tego rodzaju nieporozumienia pacyząc prawdziwy pogląd tomizmu na naturę ludzką, odgrywają rolę szkodliwą, równocześnie chciałbym jednak zlokalizować ich źródło. Wydaje się niesłuszną sugestią, którą można by wyczytać z wywodów ks. Granata, jakoby źródłem tych wypaczeń była sama filozofia Maritaina. Przeciwnie — uważam, że błędy te, o ile powstają, pochodzą bądź z nie dość ścisłej, bądź

z nie dość źródłowej interpretacji tej filozofii. Aby ich uniknąć, nie trzeba więc zrywać z dotychczasową bazą, ponieważ właściwa ich interpretacja pozwoli na uniknięcie tych błędów. Tym samym, nie odmawiając podstaw krytycznym obawom ks. Granata, chciałbym ich ostrze skierować przeciw nieściśłości i nierzetelności interpretowania filozofii Maritaina, nie zaś przeciw samej tej filozofii.

Dla uporządkowania zagadnienia i uniknięcia niejasności, wydaje mi się celowe rozpatrzenie formuły „człowiek jako jednostka mieści się w społeczeństwie, jako osoba ponad nie wyrasta” w dwu aspektach, a mianowicie ontologicznym, który powinien wyjaśnić, czym człowiek jest oraz etycznym, który powinien określić wynikający z danej koncepcji ontologiczny zakres obowiązków człowieka. W rezultacie zobaczymy, że w każdym z tych aspektów formuła ta musi być inaczej rozumiana.

„JEDNOSTKA” I „OSOBA” W ZNACZENIU ONTOLOGICZNYM: IDENTYCZNOŚĆ.

CO znaczy twierdzenie, że „człowiek jako jednostka mieści się w społeczeństwie, a jako osoba ponad nie wyrasta”, w aspekcie ontologicznym?

Trudno w tej kwestii dodać coś więcej do tego, co wyjaśnił w swoich pismach w sposób wyczerpujący sam św. Tomasz. Ks. Granat przyłącza w cytowanym artykule jego pogląd: Jeżeli przyjmujemy za kryterium jednostki (czy też — jak mówi ks. Granat — indywidualum) określenie zawarte w „Summie”, według którego jednostka jest tym, co samo w sobie jest zwarte i różni się od innych bytów, to dojdziemy do wniosku, że „pojęcie indywidualum u św. Tomasza oznacza każdy konkretny byt w przeciwstawieniu do powszechnika, a więc każda roślina, zwierzę, człowiek czy też jedna odrębna komórka mogą być nazwane indywidualami. Pojęcie indywidualum zestawione z ideą osoby posiada zakres o wiele szerszy, gdyż osoba jest indywidualum o szczególniejszym typie: W szczególniejszy i doskonalszy sposób znajduje się byt partycularny i indywidualny w substancjach rozumnych, które mają władzę nad swymi czynami i nie tylko są uległe (konieczności), ale również same z siebie działają...” „I dlatego w definicji osoby podajemy: „substancja indywidualna”, ponieważ te słowa oznaczają byt jednostkowy w ogólnym rodzaju substancji; dodajemy również (w określeniu osoby) „rozumna natura”, gdyż oznacza to byt jednostkowy w rozumnych naturach” Widzimy z tego, że św. Tomasz uważa cechę jednostkowości i indywidualności za nieodzowne w pojęciu osoby: ludzkie jednostki różnią się od innych spoza gatunku „człowiek” (mamy na myśli indywiduala niższe w hierarchii bytowej) tym, że posiadają przymiot rozumności i wolnej woli

(ugruntowany istnieniem duszy). Jeżeli teraz w świetle nauki św. Tomasza przeprowadzimy rozróżnienie między samoistnym indywidualum ludzkim a osobą ludzką, to zobaczymy, że oba te pojęcia są identyczne, natomiast istnieje różnica między indywidualum w ogóle a indywidualum ludzkim, tj. osobą” (podkr. m.)

Tak więc w płaszczyźnie ontologicznej stosunek pojęć „jednostki” i „osoby” da się określić następująco: „osoba” nie pozostaje wcale do „jednostki” w stosunku analogicznym do tego, w jakim „dusza” pozostaje do ciała, to jest w stosunku wzajemnym dwu różnych składników człowieka. „Osoba” jest tym samym co „jednostka ludzka”, jako typ szczególnie „jednostki w ogóle”.

Takie ujęcie — jak stwierdza ks. Granat — jest jednak obce wielu katolickim autorom. „Wielu pisarzy katolickich przeprowadza ostrą granicę między pojęciem indywidualum i osoby i opowiada się nawet za przeciwstawnością owych trudnych pojęć”. Do tych autorów, którzy „wykluczają cechę indywidualum z pojęcia osoby” zalicza ks. Granat między innymi również samego Maritaina. Otóż sugestia ta nie wydaje się dostatecznie uargumentowana.

Posłużmy się tekstami Maritaina, w szczególności weźmy za podstawę ten sam tekst, na który powołuje się sam ks. Granat. „A więc — pisze Maritain w „Trzeci reformatorach” — podczas gdy osobowość opiera się na trwaniu duszy ludzkiej (trwaniu niezależnym od ciała i udzielanym ciału, które jest podtrzymywane w bycie przez samo trwanie duszy) indywidualność jako taka oparta jest — głosi filozofia tomistyczna — na własnych wymaganiach materii, która jest zasadą ujednostkowania”. Na podstawie tego cytatu ks. Granat przypisuje Maritainowi przeciwstawianie osobowości i jednostkowości w człowieku. Ale jeżeli istotnie ten tekst może sprawiać wrażenie, że autor przeciwstawia pojęcia „jednostki” i „osoby” w człowieku, to tylko przy założeniu, że mówi w nim o „jednostce ludzkiej” a nie o „jednostce w ogóle”. Takie założenie uczynił milcząco ks. Granat, jednakże nie wydaje się ono uzasadnione. Równie dobrze Maritain może w przytoczonym cytacie mieć na myśli „jednostkę w ogóle”, którą przeciwstawia „jednostce ludzkiej” czyli osobie. A realność takiego przeciwstawienia uznaje przecież i ks. Granat, pisząc w swoim artykule, że o ile pojęcia samoistnego indywidualum ludzkiego i osoby ludzkiej są identyczne, to przecież „istnieje różnica między indywidualum w ogóle a indywidualum ludzkim, tj. osobą”.

Tak więc wydaje się, że wiele z nieporozumień, polegających na przeciwstawianiu pojęć „jednostki” i „osoby” kiedy się mówi o człowieku, mogłoby zostać usuniętych, jeśli by w każdym konkretnym wypadku zbadać, czy jest to przeciwstawianie jednostki i osoby w człowieku, na-

W NUMERZE m. in.:

Jan TOPORSKI — Nafta nadal rządzi światem

Charles FAVREL — List otwarty do Mr. Smitha

Artur HUTNIKIEWICZ — Turgleniew

Aleksandro MANZONI — Ferrer walczy o chleb dla ludu

Leszek PROROK — Zespół literacki a warsztat pisarza

Bogumił KOLEC — Wieczory pod lipą.

szym zdaniem niedopuszczalne w ontologicznym rozumieniu tych pojęć, czy też przeciwstawianie jednostki w ogóle samoistnej jednostce ludzkiej, czyli osobie. Weźmy na przykład charakterystyczny urywek Garrigou-Lagrange, cytowany przez Maritaina: „Człowiek będzie w pełni osobą, per se subsistans et per se operans, tylko w miarę opanowania życia zmysłów i namiętności przez życie rozumu i wolności; inaczej pozostanie tak jak zwierzę zwykłą jednostką, niewolnikiem warunków, okoliczności; wciąż w pogoni za czymś innym, niezdolnym będzie do kierowania sobą”<sup>8)</sup>. Czyż może ulegać wątpliwości, że chodzi tu o przeciwstawianie osobowości jako pewnego typu jednostkowości, właściwego człowiekowi, jednostkowości w ogóle, znajdującej czystą postać w bytach niższych?

Bez względu wszelako na to, czy przez „osobę” rozumiemy — właściwie — ciałno-duchową całość człowieka, czy też — niewłaściwie — tylko jeden ze składników tej całości, odpowiadający duszy ludzkiej, w każdym wypadku trzeba z naciskiem podkreślić jedno: oto przeciwstawienie w człowieku „jednostki” i „osoby” oraz formuła „człowiek jako jednostka mieści się w społeczeństwie, jako osoba ponad nie wyrasta” nie odnosi się do pojęć „jednostki” i „osoby” w znaczeniu ontologicznym. Gdyby chciał ją ustawić na płaszczyźnie ontologicznej, w każdym wypadku stałoby się to źródłem daleko idących błędów.

Jeżeli przez pojęcie osoby rozumiemybyśmy duchowy składnik bytu ludzkiego, to formuła „człowiek jako jednostka mieści się w społeczeństwie, jako osoba ponad nie wyrasta” rozumiane w sensie ontologicznym oznaczałaby, że człowiek mieści się w społeczeństwie jedynie swoim życiem cielesnym, natomiast życiem duchowym ponad nie wyrasta. Mielibyśmy wtedy do czynienia z błędem — tak częstym niestety — na który słusznie zwraca uwagę ks. Granat, sygnalizując u niektórych katolików „spirytualistyczne tendencje, których genezy trzeba by zdążyć szukać w spirytualizmie Kartezjusza (człowiek to istota myśląca), a również częściowo w próbie ocalenia duchowości człowieka przed naciskiem materii i konieczności biologiczno - społecznych. Osoba nie miałaby nic wspólnego z materią i ziemskim życiem, bo żyłaby w wewnętrznym swoim świecie, zajęta sobą i Bogiem.” Nie trudno zauważyć konsekwencje praktyczne takiego poglądu. Życie społeczne nie byłoby już czynnikiem sprzyjającym rozwojowi osobowości — skoro rozwijałaby się ona poza nim i bez niego — stanowiłoby jedynie dla niego przeszkodę. „Zostawienie indywidualum w sferze ziemskiej — pisze ks. Granat — a umieszczenie osoby w

(Dokończenie na str. 4)

1) Aleksander Rogalski: „Personalizm katolicki” — „Życie i Myśl” nr 7/8  
Stefan Świeżawski: „Osoba ludzka — jej natura i zadania” — „Znak” nr 26  
2) J.M.S. — „O chrześcijańskim personalizmie” — T. P. nr. 326; Karol Górski — „W sprawie personalizmu” — T. P. nr. 331; ks. Jan Piwowarczyk — „Podstawy personalizmu” — T. P. nr. 337; ks. Wincenty Granat — „Indywidualizm i osoba” — T. P. nr. 344.  
3) Sum. Theol. II, II, 64 2  
4) Sum. Theol. I, II, 214 ad 3  
5) J. Maritain — „L'ideal historique d'une nouvelle chrétienté”  
6) J. Maritain — „L'ideal historique d'une nouvelle chrétienté”  
7) J. Maritain — „Du regime temporel et de la liberte.”  
8) R. Garrigou — Lagrange — „Le sens commun et la philosophie de l'être”.



Jan TOPORSKI

# Nafta nadal rządzi światem

W MROKU chociaż niedawnej, lecz zapomnianej przeszłości straciłmy w pamięci potężnego ekonomistę DETERDINGA, który w pierwszej ćwierci naszego stulecia dał Anglii niemalże światowe panowanie nad naftą. Trzymał on na wodzy budzącą się ekspansję amerykańską, która za zaszczyt poczytywała sobie współpracę z Deterdingiem i rozwijanie się pod jego przewodnictwem.

Dziś po Deterdingu pozostały tylko wspomnienia, ale waga i znaczenie nafty jako surowca bynajmniej nie uległy zmianie, przeciwnie wielce wzrosły. Świadczą o tym cyfry: podczas kiedy ze źródeł będących w dyspozycji Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych wydobyto w 1913 r., a więc przed pierwszą wojną światową, 52 miliony ton ropy naftowej, to wydobyć jej w r. 1925 osiągało 148 milionów, w r. zaś 1950 — 480 milionów ton.

Postępy techniki w zakresie powszechnej motoryzacji, a już szczególnie samolot i rola jaką on odgrywa, nie tylko w czasie wojny, ale i w czasie po-

woju, sprawia, że zapotrzebowanie ropy naftowej i rafinowanej z niej benzyny, niemal z każdym dniem się powiększa. Wprawdzie Niemcy odcięci od naturalnych źródeł naftowych usiłowali rozwinąć produkcję syntetycznej benzyny, a przyznać trzeba, że doprowadzili to do znacznej perfekcji, to jednak produkcja ta jest znacznie kosztowniejsza i więcej wymaga czasu, niż wyczerzenie szybów tam, gdzie z ziemi tryska naturalna ropa. Dopóki więc naftowej lub benzynowej sily motorycznej nie zastąpi jakaś nowa siła atomowa, wodorowa czy inna, do tego czasu posiadanie i eksploatacja największych źródeł naftowych będzie ważnym czynnikiem w polityce wielkich mocarstw. Dziś w pierwszym rzędzie walka o naftę stanowi przedmiot sporów i rozgrywek między rywalizującymi z sobą o wpływy wielkimi państwami kapitalistycznymi.

Zapotrzebowanie na ropę naftową rośnie prawie z każdym dniem, a podane powyżej cyfry wykazują jak bardzo zwiększa się produkcja. Niedawno

usiłował ktoś robić dość interesujące zestawienie świadczące, że rok wojny koreańskiej spowodował konsumpcję benzyny niemal większą niż druga wojna światowa w 1939 r. — 1945 r. Zorientujmy się w obecnym stanie kilku głównych źródeł wydobycia nafty: w rękach anglo-saskich istnieją obecnie dwa wielkie naftowe baseny. Amerykański, z którego wydobycie sięga 375 milionów ton, z czego przeszło dwie trzecie znajduje się w Stanach Zjedn. Drugi basen to Bliski Wschód, z którego wydobywało się ostatnio około 90 milionów ton. Ilość ta miała stałą tendencję wzrostową i zapowiadała dalszy silny rozwój, gdyż badania geologów wykazały, że znajduje się tam około 40% światowych zapasów nafty: By zaś zdać sobie sprawę z tej olbrzymiej ilości, wystarczy przytoczyć, że w jednej tylko Arabii Saudyjskiej oblicza się zapas ropy na trzy miliardy ton. Możemy więc być pewni, że na okres naszego życia nafty na ziemi nie zabraknie, a przez to samo nie zabraknie i przyczyn do rozgrywek politycznych na tym tle. Dla kapitalistów zachodnich najdonioślejszą rolę odgrywa koszt produkcji, opierający się najczęściej na wyzysku robotnika. Otóż trzeba pamiętać, że najtańsza robocizna, jeżeli chodzi o koszty wydobycia nafty istnieje na Bliskim Wschodzie. Dzięki niezwykle taniej robociznie, eksploatacja nafty wynosi tam zaledwie 20% kosztów analogicznej robocizny w Stanach Zjedn. Ta znakomita kalkulacja jest niesłychanie atrakcyjna i pociągająca dla zachodnich kapitalistów.

BOGACTWO źródeł na Bliskim Wschodzie i niskie koszty produkcji wzmogły tylko chęci i dążenia Stanów Zjedn. do „panowania nad światem” w tej dziedzinie. Toteż przed samą drugą wojną i podczas jej trwania, doprowadziły one udział swój, w eksploatacji źródeł naftowych w Iraku prawie do połowy; jeśli zaś chodzi o Saudyjską Arabię i Afganistan, to otrzymały tam stały monopol. W ostatnich czasach polityka naftowa na Bliskim

Wschodzie doprowadziła do tego, że kiedy w 1938 r. Stany Zjedn. posiadały w rękach swych zaledwie 6-tą część nafty wydobywanej przez Wielką Brytanię na Bliskim Wschodzie, to w ostatnich czasach stan posiadania obu państw pod tym względem wyrównał się. Wygląda na to, że w ostatnich czasach Stany Zjedn. z całą konsekwencją zmierzają do opanowania wszelkich dostępnych im źródeł naftowych na świecie.

Nafta jest niezawodnie jednym z ważnych narzędzi panowania nad światem, jednakże w rozgrywanej się obecnie walce o prymat wśród państw kapitalistycznych, widzimy cały szereg sprzecznych czynników stanowiących plaszczyznę tarcia między Stanami Zjednoczonymi a Wspólnotą Brytyjską. Od zakończenia drugiej wojny światowej więzy łączące sojuszników zaczęły się rozluźniać. Stany Zjednoczone sięgające po panowanie nad światem, gotowe były współpracować z każdym państwem, które przyjmując warunki i założenia planu Marshalla, godziło się, niemal bez zastrzeżeń, przyznać sobie jednemu gwóźdź więcej gwiazdzy sztandar Stanowisków jednakże jakie od początku zaczęła zajmować Wielka Brytania, jej polityka dominująca, jej specjalny blok waluty sterlingowej, jej gospodarka surowcowa, a już szczególnie chwytliwy liberalizm rządu laburzystów, to wszystko było nie do pogodzenia, z powoli, ale z całą konsekwencją przez długie lata urobioną psychologią, a nawet w pewnych wypadkach psychozą Amerykanów. Toteż, analizując spokojnie przebieg wydarzeń politycznych na zachodzie i w krajach od zachodu zależnych, musimy stwierdzić, że Stany Zjedn. z całą konsekwencją usuwały Wielką Brytanię z jej dotychczasowych placówek, a nie zaniebując żadnej okazji, by wykorzystywać błędy swojego dawnego patrona a niedawno sojusznika. Jeżeli chodzi o dominia, to już od pierwszej wojny światowej zaczynały one ciężać do Stanów Zjednoczonych, szczególnie dotyczy to Kanady, południowej Afryki, a ostatnio

Nowej Zelandii i Australii. Jest to zresztą zrozumiałe tym bardziej, gdy się rozważy, że Wielka Brytania nie była w stanie tych dominów obronić przed agresją japońską. Osadzając na zimno sytuację dochodził się do przekonania, że istotną władzę w wielu częściach składowej wspólnoty brytyjskiej sprawują Stany Zjedn. a bynajmniej nie rząd angielski.

W OSTATNICH czasach Anglia posiadała jeszcze bardzo wielkie zapasy surowców, a szczególnie bardzo cennych metali kolorowych. Narzucona przez Stany Zjedn. dewaluacja funta, pozwoliła w skutkach wykupić Stanom Zjedn. w krajach Wspólnoty po bardzo niskich cenach te surowce i zrobić z nich potężne zapasy.

Stany Zjedn. z całą konsekwencją wykorzystują każdy popełniony najmniejszy choćby błąd czy słabość, by wzmocnić swoje stanowisko. Wydaje się jednak, że ta polityka wytworzyła nadzwyczaj korzystną koniunkturę dla wszelkich rewindykacji i to nie tylko gospodarczych, ale przede wszystkim politycznych. Pomijając już wielokrotnie omawianą sprawę nafty abadańskiej, ostatnie zajęcia w Egipcie wygładają także na chęć wyzyskania przez Amerykę trudnej sytuacji, w jakiej się ostatnio znajdowała Wielka Brytania.

Odnosi się ostatnio jednak wrażenie, że Stany Zjednoczone nie spodziewały się tak mocnych reakcji i tak zdecydowanego stanowiska krajów muzułmańskich.

Niezawodnie ciężki bardzo spadek obejmuje obecnie po swoim poprzedniku Churchill, który będzie zmuszony do regulowania całego szeregu zaciągniętych zobowiązań.

Z jednej strony bowiem cała jego ideologia ściśle konserwatywna i kapitalistyczna pecha go prosto w drapieżne objęcia amerykańskiej polityki, z drugiej, jednak, ciąży nad nim zaciągnięte wobec brytyjskiego imperializmu zobowiązania bronięcia szczątków niezależności brytyjskiego Commonwealthu.

## Od przyjaciół z N.R.D.



CHRISTIAN-DEMOKRATISCHE UNION DEUTSCHLANDS

HAUPTGESCHAFTSSTELLE  
BERLIN W.R. JAGELSTRASSE 54-50— die Redaktion  
der Wochenchrift "Dzisiaj i Jutro"  
Warszawa

Nr 10.12.51

Liebe Freunde!

Zur 6. Wiederkehr des Tages des erstmaligen Erscheinens Ihrer Zeitschrift übermitteln wir Ihnen unsere herzlichsten Verbundenheit und besten Wünsche für Ihre zukünftige Arbeit.

Wir verbinden hiermit unseren aufrichtigen Dank für all die Anregungen und wertvollen Gesichtspunkte, die wir für die ideologische Weiterentwicklung unserer Partei aus den Aufsätzen Ihres Organs entnehmen konnten. Insbesondere Ihre ausführliche Berichterstattung über die Meißener Tagung unserer Partei war für uns außerordentlich aufschlussreich und hat unsere Erkenntnisse und Erfahrungen wesentlich bereichert.

Wir sind mit Ihnen der Überzeugung, daß auch der zukünftige Gedanken- und Erfahrungsaustausch für uns von außerordentlichem Wert sein wird und darüber hinaus entscheidend zur weiteren Festigung der freundschaftlichen Beziehungen zwischen den fortschrittlichen Christen der Volksrepublik Polen und der Deutschen Demokratischen Republik beitragen wird. Ihre Veröffentlichungen sind uns eine große Hilfe und Unterstützung in unserem Kampf um den Frieden der Menschheit, um die Einheit unseres Volkes und um den Aufbau einer neuen Gesellschaftsordnung, die den Fortschritt in der Entwicklung der zwischenmenschlichen Beziehungen und den wachsenden Wohlstand aller Menschen gewährleistet.

Ihre Unterstützung wird uns Ansporn sein, diesen Kampf verstärkt fortzuführen und die christlichen Menschen Gesamtdeutschlands von der Richtigkeit unseres Weges zum Frieden und zur Völkerverständigung zu überzeugen. So werden wir in gemeinsamer Arbeit ein neues Bündnis für fremde Interessen verhindern und die freundschaftlichen Beziehungen unserer beiden Völker fortlaufend weiter vertiefen.

Wir wünschen Ihnen neue Erfolge in Ihrer redaktionellen und ideologischen Arbeit im Sinne Ihrer großen Leitsätze "In necessariis unitas in dubiis libertas - in omnibus caritas". Diese Arbeit möge die weitere Klärung der Position des Christentums im Zeitalter einer werdenden neuen Ordnung entscheidend fördern. Wir kämpfen gemeinsam den guten Kampf des Glaubens und sind uns des Sieges einer neuen Welt gewiß.

Mit freundschaftlichen Grüßen!

Dienstag, den 10.12.51

Redaktion: 55 295

Redaktion: 55 295

Redaktion: 55 295

Do  
Redakcji Tygodnika  
„DZIS I JUTRO“  
Warszawa

Berlin 10.12.51.

Kochani Przyjaciele!

Z okazji sześćdziesiątlatnia ukazania się Waszego pisma przekazujemy serdeczne słowa przyjaźni i najlepsze życzenia przyszłej pracy.

Dołączamy do tego nasze najserdeczniejsze podziękowanie za wszystkie podniety i wartościowe spostrzeżenia, które mogliśmy przejąć z artykułów Waszego Organu dla dalszego ideologicznego rozwoju naszej partii. W szczególności Wasze obszernie sprawozdanie o Zejeździe naszej partii w Meissen było dla nas wyjątkowo pomocne i wzbogaciło wyjątkowo nasze wiadomości i doświadczenia.

Jesteśmy przekonani, że przyszła wymiana myśli i doświadczeń będzie miała dla nas szczególną wartość, a ponadto doprowadzi do zacieśnienia przyjaźielskich stosunków pomiędzy postępowymi chrześcijanami Polski Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Wasze publikacje są dla nas dużą pomocą i oparciem w naszej walce o pokój ludzkości, o zjednoczenie naszego narodu i budowę nowego porządku, który jest rękoiemgiem postępu w rozwoju ogólnoludzkiej wspólnoty i rosnącego dobrobytu wszystkich ludzi.

Wasze poparcie będzie dla nas bodźcem do prowadzenia wzmocnionej walki w celu przekonania chrześcijan całych Niemiec o słuszności naszej drogi pokoju i porozumienia między narodami.

Wspólną pracą zupobierzemy nowemu rozlewowi krwi dla obcych interesów i pogiębimy przyjaźielskie stosunki między naszymi narodami.

Zyczymy Wam nowych sukcesów w waszej pracy redakcyjnej i ideologicznej w myśli wielkich hasel: „In necessariis unitas - In dubiis libertas - In omnibus caritas“.

Oby ta praca była dalszym sprecyzowaniem pozycji chrześcijaństwa w czasach nowego porządku światowego.

Prowadzimy wspólnie walkę pełną wiary i jesteśmy pewni zwycięstw nowego świata.

Z przyjacielskimi pozdrowieniami

(-) Goetting  
Generalny Sekretarz  
C. D. U.

## NOTATNIK POLITYCZNY

### Podróż pastora Niemöllera

WALKA o pokój toczy się jak wiadomo po tamtej stronie „żelaznej kurtyny” w warunkach zupełnie odmiennych od naszych. Toteż, choć wiemy, że nie ma pozycji politycznie neutralnych w sporze między amerykańskim imperializmem a obozem socjalistycznym — potrafimy ocenić dodatnio znaczenie nawet tych pokojowych wysiłków podejmowanych na Zachodzie, które nie wiążą się bezpośrednio ze Światowym Ruchem Obrońców Pokoju.

Przed blisko półtora rokiem na II-gim Światowym Kongresie Pokoju w Warszawie problem ten został wnikliwie nasświetlony przez delegata francuskiego Jean Laffite. W swym przemówieniu Laffite mówił o konieczności udzielania poparcia także i tym środowiskom na Zachodzie Europy, które nie wykraczają poza utopiarną motywację pacyfistyczną lub kierowane troską o niemieszanie własnego narodu w konflikt światowy — w rzeczywistości przyczyniają się do krzyżowania militarnych planów amerykańskich.

Typowym przykładem zajęcia podobnej pacyfistyczno-neutralnej postawy jest działalność głowy ewangelickiego kościoła w Hesji pastora Niemöllera, którego ostatniej podróży do Moskwy przypisuje się duże znaczenie. Popularność i autorytet tego szlachetnego człowieka datuje się jeszcze sprzed II Wojny Światowej, kiedy to pastor Niemöller nie wahał się dać publicznego wyrazu swemu protestowi przeciw nazistowskiej polityce dyskryminacji. Oficer marynarki cesarskiej z okresu I Wojny Światowej jest Niemöllerem starego autoramentu niemieckim patriotą i uczciwym pastorem kapłanem. Na wyraźne manifestowane antyfaszystowskie pozycje zaprowadziły go bynajmniej nie lewicowe poglądy społeczne, lecz po prostu szczerą patriotyzm i chrześcijańskie przekonania.

W chwili obecnej pastor Niemöller uważany jest za faktycznego przywódcę tych protestantów niemieckich w Trizonii, którzy są przeciwnikami remilitaryzacji i pragną zjednoczenia Niemiec na drodze pokojowej.

Równocześnie warto podkreślić, że ani pastor Niemöller ani jego zwolennicy nie są organizacyjnie związani ze Światowym Ruchem Obrońców Pokoju, podobnie zresztą jak kierownik katolickiego centrum C. D. U. — Helena Wessel, były kanclerz Rzeszy z okresu republiki weimarskiej dr Wirth, b. minister rządu bonneńskiego Heinemann i wielu innych politycznych działaczy z Niemiec Zachodnich. Fakt ów w pewnej mierze wyjaśnia dotychczasowy, względnie tolerancyjny stosunek rządu Adenauera do działalności pastora. Jednak gromadzony miesiącami ładunek nieufności inspiratorów wojny musiał kiedyś wybuchnąć. Iskrą była niedawna podróż Niemöllera do Moskwy, dokąd przybył dla omówienia z przedstawicielami rosyjskiej cerkwi prawosławnej kwestii ewentualnej afiliacji z światową radą kościołów.

Jak widzimy, cel podróży Niemöllera nie był bezpośrednio polityczny, a gdybyśmy chcieli szukać politycznego znaczenia moskiewskich rozmów, to musieliśmy ograniczyć się do stwierdzenia, że sam fakt porozumiewania się chrześcijan reprezentujących dwa rzekomo wrogie narody — w wymowny sposób podważa szerzoną na zachodzie tezę o nieuchronności zbrojnego konfliktu. Ale tak przysługą oddana sprawie rozładowania wojennej psychozy nie mogła ująć Niemöllera bezkarnie. I może nawet nie daleko odbiegł od prawdy dr Adenauer oświadczając, iż „podróż Niemöllera do Moskwy jest ciosem w plecy dla rządu federalnego”. Wypada najwyżej zakwe-

stionować trafność określenia „w plecy”. Ciosy w plecy otrzymuje się wszakże jedynie od byłych sojuszników. A czyż można przypuszczać aby neohitlerowski reżim bonneński mógł kiedykolwiek liczyć na przymierze z tak wypróbowanym antyfaszystą jakim jest pastor Niemöller.

Natomiast tenor hamietyzowania Adenauera niewątpliwie trafia w sedno: każda próba rozładowywania militarnych nastrojów godzi w reżim bonneński, który jedynie w pogotewaniu owych nastrojów widzi zaplecze dla swej działalności.

Kiedy adenauerowska prasa posunęła się do oskarżenia pastora o zdradę stanu, postulując pozabawienie go prawa pobytu w Niemczech Zachodnich — wystąpił w jego obronie biskup Dibelius — głowa niemieckiego kościoła ewangelickiego. Dibelius stwierdził, że „poza Niemöllerelem również i inne osobistości kościoła ewangelickiego w Niemczech starały się o nawiązanie kontaktu z kierownikami kościoła prawosławnego w Rosji”. Fakt zaś, że inicjatywa pastora Niemöllera spotkała się z przychylnym przyjęciem w żadnej mierze nie uprawnia do podejmowania podobnie niewybrednej nagonki.

Ze sprawy Niemöllera płynie nauka, wykraczająca poza partykularne ramy zagadnień obchodzących wyłącznie protestantów. Zarysowujący się konflikt między kościołem ewangelickim w Niemczech Zachodnich a wojenną polityką rządu Adenauera jest trafną ilustracją potencjalnej roli jaką odgnać mogą chrześcijanie a więc także i katolicy w krzyżowaniu dążeń militarnych. Nawiązanie ściślejszej łączności przez chrześcijan reprezentujących rozdzielone „żelazną kurtyną” państwa jest, jak wynika z przykładu inicjatywy Niemöllera, skutecznym sposobem walki o pokojowe współżycie narodów.



Charles FAVREL

tłum. Jan POGORSKI

# List otwarty do Mr. Smitha

Wystannik wielkiego paryskiego dziennika prawniczego „Le Monde”, Charles Favrel, był jednym z pierwszych korespondentów, którzy znaleźli się w Korei od początku działań wojennych. Jego reportaże, demaskujące bezwzględność i niepotrzebne okrucieństwo wojsk amerykańskich, wywołały pół roku temu ogromną sensację w prasie francuskiej i światowej. List otwarty, który przedrukujemy poniżej w obszernym streszczeniu, przeznaczony dla czytelników amerykańskich, ukazał się w listopadzie 1951 r. na łamach postępowego miesięcznika katolickiego „Esprit”.

WYOBRAŻAM sobie, Mister Smith, że jest Pan zwykłym, przeciętnym Amerykaninem i, jako taki, mieszka Pan w stanie Kansas, w samym środku Stanów Zjednoczonych, gdzieś na wysokości 38-go równoleżnika.

Ze swych okien ogląda Pan codzień ogromną równinę zroszoną kroplami potu pracowitych pokoleń, lecz nigdy kroplami krwi, jeśli wyłączyć tę odległą wojnę domową, o której wasze książki piszą, że stała się zaczątkiem amerykańskiej wielkości.

Nie życzę Panu, Mister Smith, wojskowej okupacji Pańskiego kraju, ani deportacji i obozów śmierci, nie życzę Panu, by nieprzyjacielskie eskadry obracały w gruzu wasze miasta i paliły wsie. Trudno jednak oprzeć mi się wrażeniu, że gdyby ziemia wasza przeszła przez cierpienia duszy i ciała, byłibyscie bardziej skłonni zrozumieć nieszczęścia innych, stalibyscie się bardziej ludzcy.

Bo nie jesteście ludzcy, moi Panowie z Ameryki, i przykro mi, że wam to wspominać, choć jestem tylko zwykłym, przeciętnym Francuzem. Nie jesteście ludzcy, albowiem, raz zapląawszy się w wojnę na Korei, prowadzicie ją z taką bezwzględnością i z takim okrucieństwem, że fakt ten zadziwił i oburzył opinię całego świata.

Być może, niektórzy z was odpowiedzą mi na to, że wina leży głównie po stronie przeciwnej i zaczęłyby potulnie powtarzać znane oświadczenia Pentagonu i Departamentu Stanu.

Jest tylko jedna trudność, Mr. Smith. Otóż, okazuje się, że neutralni obserwatorzy notowali dzień po dniu rozwój wypadków, a teraz, po obiektywnym ich zbadaniu, nie mogą pogodzić się z oficjalnymi wypowiedziami waszej propagandy.

## ODPOWIEDZIALNOŚĆ U.S.A.

POWIE mi Pan, zapewne, Mister Smith, że to stanowisko Z.S.R.R. spowodowało konieczność remilitaryzacji Niemiec i Japonii po tylu pięknych wypowiedziach potępiających wojskowy imperializm.

Tego rodzaju polityka może by się i przyjąć, cóż, kiedy wasz brak taktu wobec umęczonych przez wojnę narodów, uniemożliwia nam pogodzenie się z nią. Protegując Kruppa i magnatów z I. G. Farben, powołując na swych doradców hitlerowskich zbrodniarzy, na pewno nie znajdziecie u nas poparcia, którego tak wam potrzeba, by stworzyć wreszcie, pod waszym przewodnictwem, Unię Zachodnią.

A poza tym, to „agresywne” stanowisko Z.S.R.R., o którym tak gardłujecie, czy jest Pan pewny, Mr. Smith, że nie wymyśliłście go ad hoc na potrzeby waszej polityki? Wiele można by powiedzieć o fałszywych wiadomościach krążących na zachodzie na temat rzekomych przygotowań wojennych Związku Radzieckiego i krajów wschodnich. Sam byłem niedawno w Polsce i, wbrew temu, co się opowiada na zachodzie, znalazłem tutaj cały pochłonięty walką o pokój i olbrzymim dziełem odbudowy, które w żaden sposób nie dałoby się realizować przez naród żywiący jakieś agresywne zamiary.

Lepiej by to Pan na pewno zrozumiał, gdybyśmy całą sprawę przedyskutowali od początku. Nikt

nie wie, kto wymyślił 38 równoleżnik, wiadomo natomiast, że przedstawiciele Czterech Mocarstw zgodzili się, by tworzył on prowizoryczną granicę i że odsunęli definitywne uregulowanie zagadnienia na czas nieokreślony.

Nie będę tu przytaczać długiego szeregu dowodów, jest jednak rzeczą bezsporną, że od chwili objęcia władzy przez prezydenta Sygmana Rhee, rząd Korei Południowej objawiał daleko idącą agresywność w stosunku do swoich braci z Korei Północnej.

## WOJNA I „AMERYKAŃSKA POLITYKA”

I JESZCZE jedno. Na samym początku Koreańczycy bili się sami między sobą, a agresja amerykańska zaogniła cały problem. Chciać grać rolę rozjemcy. Amerykanie powinni byli rozdzielić przeciwników, a całą sprawę przedstawić sędziemu pokój.

Niech Pan nie zapomina, Mister Smith, że w chwili, kiedy Amerykanie przekraczają 38-y równoleżnik, jest koniec sierpnia 1950. Północni Koreańczycy cofają się w rozsypce. Nie mają ani czołgów, ani artylerii ciężkiej, ani lotnictwa. Ich linie komunikacyjne są przerywane, ich miasta i fabryki zniszczone. Są sami, zupełnie sami, nikt nie przyszedł im z pomocą, ani Chińczycy, ani Rosjanie. Natomiast Południowi Koreańczycy mają do pomocy Amerykanów z całym ich potężnym wyposażeniem lotniczym, motorowym i artyleryjskim, kilkaset statków wojennych i oddziały pomocnicze brytyjskie, tureckie, francuskie...

Ale już w parę miesięcy później cała ta wspaniała zmotoryzowana armia ucieka na łeb na szyję przed „ochotniczą zbieraniną”, której główną bronią są moździerze, automaty małokalibrowe i niesłychana szybkość manewrowania.

Pobity sromotnie, Mac-Arthur skarży się: „Milion Chińczyków w Korei! Jutro zajmą Tokio, pojutrze Waszyngton...” I delegaci Narodów Zjednoczonych w Lake Success posuszni słowom amerykańskiego wodza czym prędzej potępiłi Chiny jako agresora.

A tymczasem, Mister Smith, według obliczeń sztabów ósmej Armii, ilość ochotników — Chińczyków w Korei Północnej nie dochodziła nigdy do 150.000 a jeńcy — było ich około 300 — potwierdzali wszyscy fakt, że są ochotnikami.

Chiny agresorem? Proszę tylko pomyśleć, co byście zrobili na miejscu Chin, panowie z Ameryki! Nie dość, że na chińskiej granicy ukazała się wspaniale wyekwipowana nowoczesna armia, której samoloty ciągle gwałcą tę granicę, ale jeszcze odmawia się narodowi 450-milionowemu prawa do zasiadania w Narodach Zjednoczonych! I wreszcie, na wiosnę 1951 roku, świat zachodni zrozumiał, że osłupieniem, że małuczko a wpakowano by go w wojnę przeciwko Chinom na to, by sprowadzić z powrotem Czang-Kai-Szeka na kontynent azjatycki!

TAK więc wojna wisiała na włosku, Mister Smith, i krótka chwila przytomności, w czasie której odprawiliście Mac-Arthura ocaliła tymczasowo pokój świata.

Czy myśli Pan jednak, że Chiny mogą czuć się spokojne, kiedy widzą jak Ameryka rozbudowuje łań-

cuch baz wojennych wokół ich terytorium? A remilitaryzacja Japonii? A sprawa Formozy?

Z chwilą, gdy Ameryka wystąpiła jako wróg Chin, cała polityka azjatycka uległa zasadniczym zmianom. Równocześnie przestawienie przemyślu na produkcję wojenną, zostało zdecydowane, Ameryka puszczała w ruch olbrzymią maszynę, która ma ją poprowadzić do wojny światowej.

Ale, Mister Smith, proszę sobie to dobrze zapamiętać: my, Francuzi, tej wojny nie chcemy! Nie chcemy, bo nie mamy zamiaru popierać wszystkich fantazji waszych polityków, którzy mają pretensje do rządzenia światem, a nie chcą sobie nawet zadać trochę trudu, by zbadać złożoność, potrzeby, aspiracje i zależności tego świata. Wiemy dobrze, co sądzić o „wielkiej polityce amerykańskiej”. Wiemy co warte są zmiany, skoki i powroty. Widzieliśmy, jak Ameryka popierała Pétain'a, przeciwstawiała de Gaulle'owi generała Giraud, paktowała z Darlan'em, by powrócić do de Gaulle'a. Widzieliśmy, jak się pomagało Michajłowiczowi, aby następnie pomagać marszałkowi Tito, wyklinać Tito i znów go ścisnąć w parę lat później. Widzieliśmy zakazy fraternizacji z Niemcami i niedługo później współpracę z hitlerowcami, potępienie gen. Franco i szukanie jego sojuszu. A wasze wyskoki w Grecji, Indochinach, na Filipinach, w Marokku, w Iranie, w Iraku...

A już jeśli chodzi o wojnę, Mister Smith, to przyznajcie się uczciwie, że życzyście jej sobie. Chcielibyście posłużyć się nią, by wyniszczyć ogniem i żelazem komunizm, ponieważ boicie się, by nie zaraziły się nim wasze masy robotnicze. Dążycie do wojny, szukacie jej, a jeśli część waszej opinii domagała się osadzenia Mac-Arthura, to tylko dlatego, że jak to powiedział generał Bradley, czas sposobny jeszcze nie nadszedł. I gen. Bradley dodał wówczas: „Jego strategia wciągnęłaby nas w wojnę w złym miejscu, w złej chwili i z najgorszym wrogiem.”

Zresztą, ktoś uwierzy, że traktat sojuszu z Japonią i gorączkowa rozbudowa baz lotniczych naokoło Z.S.R.R., choć oddalonych o dziesięć tysięcy kilometrów od waszego terytorium, wchodzi w ramy paktu obronnego? Chciałbym wiedzieć, co by Pan powiedział, Mr. Smith, gdyby tak Rosjanie użyli podobnych metod i oświadczyli, że granica ich bezpieczeństwa przechodzi przez Antyle i Meksyk i zaczęli dozbierać Kubę i Guatemalę!

Niech Pan pamięta Mr. Smith, że nie mamy najmniejszej ochoty pakować się, na rozkaz, w awanturę wojenną, która rozegrałaby się przede wszystkim na naszej ziemi i naszym kosztem.

## CZYŻBY NARÓD NIELUDZKI?

OD roku już Amerykanie dają nam smutny obraz narodu nieludzkiego, dążącego wszelkimi sposobami do pomszczenia zranionej dumy i miłości własnej. Mówię tu o narodzie, Mister Smith, bo odpowiedź na ten stan rzeczy są nie tylko wasi ministrowie i senatorzy. Oni poszli za rozwścieconą opinią, której uczucia objawiały się w gazetach. I ta opinia zdecydowała w próbie wytracenia narodu, którego jedyną winą było to, że stał się mimowolnym świadkiem ucieczki waszych żołnierzy.

Chińczycy, Koreańczycy, to ludzie, którzy nie powinni chyba mieć praw do życia. Niech więc rozwalą ich już raz wreszcie i niech nasi chłopcy, nasi kochani chłopcy wrócą do domów, do mamy, do żony...

(Dokończenie na str. 11.)





# CZŁOWIEK — JEDNOSTKA I OSOBA

zakresie spraw ducha, zdaje się usuwać spod działania osobowości ludzkiej całą twórczość techniczną, architekturę, rzeźbę, malarstwo a nawet kulturę społeczną. Tymczasem „obserwacją i doświadczeniem powie nam dalej, że człowiek wyciska (lub może wycisnąć) pieczęć swej osobowości na jakiegokolwiek swej pracy, a w każdym czynnie świadomym i wolnym ujawnia się cały człowiek, tzn. osoba ludzka w jej strukturze i właściwościach“.

Jeżeli natomiast przyjęlibyśmy, że osoba oznacza całość cielesno-duchową człowieka, wówczas interpretując formułę „człowiek jako jednostka mieści się w społeczeństwie, jako osoba ponad nie wyrasta“ w kategoriach ontologicznych popadlibyśmy w inny, nie mniej poważny błąd. „Przy powyższej antytezie — pisze ks. Granat — jeśli mianem jednostki oznaczamy cały konkretny ludzki tj. człowieka, to należałoby powiedzieć, że człowiek jest częścią grupy i tylko dla niej żyje: grupa społeczna staje się wówczas realnym osobowym bytem, którego częstokami byłoby jednostki“.

Stwierdzenie, że formuły „człowiek jako jednostka mieści się w społeczeństwie, jako osoba ponad nie wyrasta“ nie wolno rozumieć w kategoriach ontologicznych nie oznacza wcale kwestionowania jej słuszności, oznacza ono natomiast, że właściwa płaszczyzna, w której to przeciwstawienie i wyżej podana formuła ma sens, jest płaszczyzna nie ontologiczna a etyczna. Inaczej mówiąc pojęciem „jednostki“ i „osoby“ przeciwstawiające się w człowieku są pojęciami nie ontologicznymi a etycznymi, określając pewien zakres obowiązków człowieka. Inaczej mówiąc rozróżnienie w człowieku „jednostki“ i „osoby“ i przeciwstawienie ich sobie w powyższej formule ma sens tylko wtedy, jeżeli nadaje się im znaczenie etyczne, określające sferę

obowiązków, nie zaś ontologiczne, określające czym człowiek jest.

## „JEDNOSTKA“ I „OSOBA“ W ZNACZENIU ETYCZNYM: PRZECIWWSTAWIENIE.

**Z** ONTOLOGICZNEGO rozumienia człowieka jako osoby wynika jako zasadnicza konsekwencja etyczna uznawanie człowieka za całość a nie za część. Oznacza to, że o ile natura zawiera w sobie pewną celowość, to ponieważ człowiek jest osobą, jest sui iuris; jego celowość jest autonomiczna — jego naturalny cel mieści się w nim samym a nie poza nim. „Pojęcie osoby — pisze Maritain — stosuje się do substancji, które stawiając sobie własny cel, zdolne są same określać środki i wprowadzać dzięki swojej wolności w porządek wszechrzeczy cały szereg nowych wydarzeń“<sup>1)</sup>.

Ale wiemy równocześnie, że człowiek tego swojego celu osobowego, wynikającego z jego natury, nie może osiągnąć wyłącznie siłami indywidualnymi, że potrzebna jest mu pomoc społeczeństwa, która wzmacnia jego siły i staje się czynnikiem rozwoju. Dlatego człowiek jako osoba czyli jednostka ludzka w znaczeniu ontologicznym wchodzi w związki społeczne. Od tej chwili jednak jego charakter osoby etycznej, tj. całości o autonomicznym celu, ulega uzupełnieniu charakteru jednostki etycznej czyli części innej całości.

Ale w tym nowym aspekcie, aspekcie etycznym, stosunek tych dwu pojęć nie jest już stosunkiem tożsamości. O ile osobowość etyczna, czyli charakter autonomicznej całości wynika wprost z osobowości ontologicznej, o tyle jednostkowość etyczna czyli charakter części innej całości, nabywa człowieka przez fakt wejścia w społeczeństwo, którego musi się stać częścią.

Tak więc należy zdać sobie sprawę, że ten sam termin „jednostka“ oznacza co innego w aspekcie onto-

<sup>1)</sup> J. Maritain — „Trzej reformatorzy“.

(Dokończenie ze str. 1)

logicznym, gdzie oznacza „ujednostkowiony fragment rodzaju ludzkiego“ czyli osobę ontologiczną, a co innego w aspekcie etycznym, gdzie oznacza pewne ograniczenie czystej osobowości etycznej przez fakt przyjęcia obowiązków wobec całości innej niż osoba — wobec społeczeństwa; jednostkowość w sensie etycznym oznacza więc stosunek człowieka do społeczeństwa jako części do całości<sup>2)</sup>.

Aczkolwiek zatem w płaszczyźnie etycznej można mówić o przeciwstawieniu pojęć osoby i jednostki w człowieku, trzeba przecież, by to przeciwstawienie było właściwie rozumiane. Nie oznacza ono, że człowiek dąży do rozwoju osobowości w miarę jak przewyżcza w sobie charakter jednostki w społeczeństwie, że przeto służąc społeczeństwu jako jednostka przestaje człowiek służyć własnej osobowości. Bynajmniej. Dobro społeczne jest niezbędnym środkiem osiągnięcia dobra osobowego. Przecież to dla własnego dobra osobowego wstępuje człowiek w społeczeństwo. Toteż dobro całości społecznej — wspólne dobro doczesne — nie może popaść w kolizję z dobrem osobowym, jeżeli tylko nie zapomina o swoim podporządkowaniu temu ostatniemu. Tak więc człowiek, rozwijając działalność, czy to z tytułu swoich obowiązków jako osoby, czy to z tytułu swoich obowiązków jako jednostki, służy zawsze własnemu dobru oso-

<sup>2)</sup> To rozróżnienie między jednostkowością a osobowością w aspekcie ontologicznym i etycznym znajduje się jak wyżej, uzasadnienie w następującym fragmencie z Maritaina: „Będąc przede wszystkim jednostką w rodzaju ludzkim człowiek potrzebuje pomocy swoich bliźnich dla dopełnienia swej specyficznej działalności, jest więc dopiero w drugim rzędzie jednostką w państwie, częścią społeczną“ (T. Trois reformateurs — podkr. m.). W tekście tym ujawnia się w pełni odrębny i pochodny charakter jednostki w znaczeniu etycznym w stosunku do jednostki w znaczeniu ontologicznym.

bowemu, choć w pierwszym wypadku niejako bezpośrednio, a w drugim pośrednio.

Wobec możliwych nieporozumień należy mocno podkreślić, że gdy mówimy o osobowości etycznej, to nie mamy na myśli dwu różnych podmiotów postępowania w człowieku, z których jeden działałby wprost na rzecz osoby, a drugi na rzecz dobra wspólnego. Taki pogląd polegałby na pomieszaniu aspektu ontologicznego z etycznym. W jednym i drugim wypadku działa zawsze jeden i ten sam podmiot (cała osoba czyli jednostka ludzka w sensie ontologicznym), natomiast w pierwszym wypadku, działa z tytułu swoich obowiązków jako osoby, czyli całości, natomiast w drugim z tytułu swoich obowiązków jako jednostki, czyli części.

Już w 1925 r. Maritain zastrzega się przeciw fałszywej interpretacji nauki o jednostce i osobie: „Należy dobrze zrozumieć doktrynę przez nas tutaj wyłożoną. Nie twierdzimy wcale, że sama osoba — jednostka odpowiedzialna za swoje czyny i zdolna do cnoty (a więc osoba w znaczeniu ontologicznym — przyp. m.) — nie jest częścią społeczeństwa. Byłoby absurd. „Quaelibet persona singularis comparatur ad totam communitatem sicut pars ad totum“ (II—II, 64, 2), a czyny wszystkich cnót mogą się stosować do dobra społeczeństwa (ibid. 58, 5), które jest także dobrem ludzkim i moralnym“. Maritain odcina się więc od płynących z pomieszania aspektów ontologicznego i etycznego mniemań, jakoby człowiek mieścił się w społeczeństwie pewną częścią swojej ontologicznej istoty, zwaną „jednostką“ i odpowiadającą ciału, natomiast wyrastał ponad nie drugą częścią a mianowicie „osobą“ czyli duszą. Dalsze rozwinięcie myśli Maritaina znajdujemy w jego „Les droits de l'homme et la loi naturelle“. „Istnieje ogromna różnica — pisze Maritain — między twierdzeniem: „Człowiek jest zaangażowany jako część społeczeństwa politycznego cały, ale pod pewnym względem“, a twierdzeniem innym: „Człowiek jest częścią społeczeństwa politycznego cały i ze wszystkim, co do niego należy... Pierwsze jest prawdziwe, drugie fałszywe... Podobnie dobry filozof angażuje się cały w filozofię, ale nie pod względem wszystkich funkcji, ani wszystkich celów swej istoty. Angażuje się on cały w filozofię pod względem specjalnej funkcji swego rozumu. Dobry biegacz angażuje się cały w wyścig, ale pod względem mechanizmu neuro-muskularnego, który w nim jest, natomiast nie pod względem na przykład jego znajomości Biblii czy astronomii. Osoba ludzka angażuje się cała jako część społeczeństwa politycznego, ale nie pod względem tego wszystkiego, co w niej jest i co do niej należy. Pod innym względem, dla innych spraw, które się w niej mieszczą, jest ona także cała ponad społeczeństwem politycznym“. Tak więc, chociaż człowiek angażuje się w społeczeństwo cały (jako osoba ontologiczna) i pozostaje osobą zawsze, przy wykonywaniu wszelkich funkcji doczesnych i ziemskich, a więc i służąc wspólnemu dobru społecznemu, to jednak wspólne dobro czyli cel społeczeństwa, którego jest członkiem — nawet jeśli to jest społeczeństwo naczelne czyli państwo — nie wyczerpuje całości celów naturalnych człowieka, do których jest powołany jako osoba etyczna. Przyjęte powszechnie przeciwstawienie, głoszące że „człowiek jako jednostka mieści się w społeczeństwie, jako osoba ponad nie wyrasta“, należy przeto rozumieć w znaczeniu nie ontologicznym a etycznym. Człowiek wyrasta jako osoba ponad społeczeństwo nie częścią swego jestestwa, ale

zakresem swoich naturalnych celów.

Uzupełnienie identyczności osoby i jednostki ludzkiej na płaszczyźnie ontologicznej, ich przeciwstawienie na płaszczyźnie etycznej, podkreślenie, że człowiek nie jest tylko osobą czyli całością, ale zarazem jednostką czyli częścią społeczeństwa, obowiązującą do służby wspólnemu dobru doczesnemu, wydaje się konieczne, jeśli się ma uniknąć błędów polegających na deprecjonowaniu zaangażowania katolików w walkę o wartości doczesne, pod pretekstem nadrzędności celu wiecznego.

Janusz Zabłocki

## NOTKI KULTURALNE

Henri Matisse znany współczesny malarz francuski obchodził 31 grudnia r. ub. swą 82 rocznicę urodzin.

Po raz pierwszy od lat 14 nie została przyznana we Francji nagroda za najlepszy film krajowej produkcji tzw. Prix Delluc. Jury jednogłośnie orzekło, że produkcja francuska nie data żadnego filmu w r. 1951 odpowiadającego wymaganiom stawianym przez jury. Dotychczas nagrodzone filmy stały na dużo wyższym poziomie i zaden z filmów wyprodukowanych w r. ub. przez wytwórnie francuskie nie dorównuje im. Jury nagrody Delluc piętnuje w ten sposób politykę filmową rządu francuskiego, która prowadzi kinematografię francuską do upadku.

W ZSRR ukazał się zbiór wierszy poety radzieckiego — Tichonowa pt. „Dwa strumienie“. Wiersze te poświęcone są pobytowi delegacji radzieckiej w Pakistanie i Afganistanie.

Wkrótce w Pułkowie pod Leningradem zostanie oddane do użytku wielkie radzieckie obserwatorium astronomiczne, zniszczone podczas ostatniej wojny przez hitlerowców. Obserwatorium to będzie wyposażone w największy w Europie teleskop słoneczny.

W Paryżu odbywa się obecnie wystawa plastyczna postępowych artystów hiszpańskich i artystów krajów Ameryki Łacińskiej. Są tam wystawione między innymi prace Picassa, Rivory, Thoresa Garcia, Clave'a Fenosa, Floresa, Kubańczyka Lamy, Peinada i innych.

W Anglii zmarł niedawno w wieku 78 lat Hilary D. C. Pepler, wybitny przedstawiciel angielskiego katolicyzmu. Urodzony w rodzinie Kwaków w r. 1916 przeszedł na katolicyzm i od tego czasu rozpoczął swą działalność kulturalną w kręgach katolickich. Był dziennikarzem, wydawcą, baśniopisarzem, dramaturgiem. Napisał m. in. o Piłacie i św. Dominiku.

W pałacu laterańskim w Rzymie zostało niedawno odkryte cenne malowidło freskowe ukryte dotychczas pod warstwą tynku. Dzieło to jest zabytkiem stylu bizantyjskiego pochodzącym z 6 wieku.

W niustannie bombardowanym i straszliwie zniszczonym przez Amerykanów Phenianie powstał nowy teatr. Koreańscy górniczy wybudowali go na 50 m pod ziemią.

Niedawno w teatrze tam odbyła się premiera sztuki Chan Won-Sika „Ludzie z kopalni“.

Artyści koreańscy biorą żywy udział w pracy kulturalnej wśród wojska. Od początku wojny artyści Teatru Artystycznego występowali na froncie 748 razy.

Orkiestra symfoniczna tego teatru stworzyła trzy brgady objeżdżające z występami front.

Podobną pracę prowadzi również inne zespoły m. in. zespół Operu i baletu.

Liczba uczniów w szkołach muzycznych Bułgarii wzrosła z 651 osób w latach 1943/44 do 1957 w latach 1950/51.

## WŚRÓD KSIAŻEK

# Reportaż Bredla

NIELATWO jest określić rodzaj literacki książki Willi Bredla „50 dni“<sup>\*)</sup>. Nie jest ona powieścią ani nowelą, najbardziej chyba zbliża się do szkicu powieściowego mającego równocześnie wiele punktów stycznych z reportażem. Młgawkowo zaznaczone zmienne miejsca akcji zwłaszcza na początku książki dają duże możliwości przeobrażenia jej na powieść filmową, przy czym od razu nasuwa się porównanie z filmem NRD „Bracia Benthin“.

Bohaterami książki są zbiorowiska ludzkie: zniszczona w czasie potwornej powodzi turyńska wieś Bruchstedt z jednej strony, a odbudowująca ją ludność Niemiec a w szczególności młodzież z organizacji WMN (Wolna Młodzież Niemiecka) z drugiej strony.

Poszczególne jednostki zaledwie paroma kreskami naszkicowane doskonale przylegają do grupy, którą jednocześnie reprezentują. Treścią jest bezinteresowna gotowość niesienia pomocy poszkodowanym członkom społeczeństwa. Radość z ofiarnej pracy dla drugich oświetla opowiadanie.

Kataklizm przyrody, straszny wylew niewielkiego strumienia powoduje we wsi Bruchstedt zupełne zniszczenie czterdziestu budynków, utonięcie ośmiu ludzi i trzystu sztuk bydła. Nieszczęśliwym na pomoc przychodzi całe społeczeństwo NRD, rząd bierze odbudowę w swoje ręce, ochotniczy zwalniani ze swych zakładów pracy spieszą z pomocą. Nieprawdopodobne zobowiązanie odbudowania wsi w ciągu 50 dni zostaje dokonane. Nadto poza nowymi domami mieszkalnymi we wsi uregulowano strumień, by zapobiec ponownym katastrofom, oraz wzniesiono szkołę i dom kultury.

\*) Willi Bredel. „50 dni“. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, str. 114.

Bierny a nawet negatywny stosunek wieśniaków do idącej im z pomocą ludności neutralizują osiągnięcia: całkowita odbudowa wsi w ciągu 50 dni. Podobnie wielu fachowców rzemieślników przysłanych z przedsiębiorstw państwowych wspomina dawne antagonizmy wsi i miasta. Ci zostają zwolnieni z pracy. Bruchstedt może być odbudowane tylko przez ludzi, którzy rozumieją znaczenie jego odbudowy, inni nigdy nie byłiby w stanie podolać podobnemu wysiłkowi.

Nawet przyroda staje na przeszkodzie pracom we wsi, strumień wylewa ponownie i grozi zniszczeniem zaczętych robót. Na szczęście natychmiastowa pomoc jak i częściowe uregulowanie rzeczki chroni przed katastrofą.

Zwięzły reportażowy tok opowiadania, konfrontacja zdarzeń we wsi Bruchstedt z współczesnymi wydarzeniami jak wojna w Korei, podpisy pod apel pokoju, daje silne wrażenie autentyczności. Równocześnie jednak ów reportażowy charakter powoduje usunięcie z opowiadania elementu dramatycznego z jego wznoszącą się akcją, niespodziewanym zakończeniem.

Podobnie nie pogłębiona jest treść psychologiczna książki. Na czoło wysuwają się trzy postacie, wszystkie należą do WMN: Marcin Dengelmann, Hans-Otto Böhrer i Petra Harms. Jedynie psychika Petry nie budzi wątpliwości. Młoda sprzedawczyni z Państwowego Domu Towarowego gorąco pragnie jak najbardziej przychylić się do odbudowy wsi. Pracuje jako murarz i zostaje przodownikiem pracy.

Przodownikami zostają również Marcin i Hans-Otto. I oni z całą ofiarnością i zrozumieniem znaczenia swej pracy odbudowują Bruchstedt, ale w ich osobach autor chciał nie tylko przedstawić solidarność młodzieży nie-

mieckiej, jej chęć odbudowania Republiki Niemieckiej na zasadach demokratycznych, ale chciał równocześnie ukazać przełom, jaki dokonał się od Niemiec hitlerowskich do Niemiec demokratycznych. Otóż ów przeogromny skok nie został ukazany w psychice obu chłopców ale jedynie w ich losach po krótko opowiedzianych nam przez autora, co oczywiście niezmiernie upraszcza i obniża cały problem.

Hansowi-Ottowi pochodzącemu z burżuazyjnej rodziny niemieckiej tyrant ojca każe uciekać z domu. Socjalista zostaje dzięki przypadkowi poznany byłemu więźniowi z Buchenwaldu Albertowi Naumannowi. Marcin stosunki w ZSRR poznał pracując tam jako jeńiec wojenny. Obecnie mieszka w Niemczech Zachodnich gdzie dochodzi do ostrych tarć między nim a szwagrem. Do NRD przyjechał na zlot zielonoświąteczny WMN skąd wprost udał się do Bruchstedt.

Tematyka książki ukazująca obecną sytuację w NRD nie pozwala na głębsze zwrócenie uwagi na zagadnienie przełomu psychicznego ludzi stanowiących społeczeństwo Demokratycznej Republiki Niemieckiej. Niemniej wydaje się, że problem przemiany Niemiec hitlerowskich na Niemcy demokratyczne jest tak istotny, że nie należało go potraktować więcej niż drugoplanowo, raczej w ogóle go nie poruszać i postacie obu chłopców przedstawić podobnie jak Petry.

Reasumując możemy powiedzieć, że książka Bredla o wysokim poziomie ideowym ma pewne niedociągnięcia kompozycyjne. Dlatego właśnie interesująca jako szkic powieściowy jako całościowa powieść wymaga rozbudowy i opracowania.

Przekład Marii Leśniewskiej doskonały, podobnie zresztą jak korektorskie opracowanie książki.

B. M.



Artur HUTNIKIEWICZ

## TURGIENIEW

I.

W EPOCE II Cesarstwa i w pierwszych latach III Republiki można było spotkać w salonach ówczesnej francuskiej elity artystyczno-literackiej starszego pana, o przyciętą szczególnie uwagę niezwykłością swej oryginalnej sylwety: wysoki, z lekka pochylony, o szerokich, potężnych ramionach, na których wspierała się wspaniała głowa. Siwiejące, bujne włosy lwią grzywą spadały na kark, obfity zarost okalał twarz rasową, o rysach wyrazistych, lekko zgarbionym nosie i oczach głębokich, dobrych, w których taił się jakiś smutek i zamyślenie. Tę twarz, znana nam dziś z wielu portretów i podobizn, miała w sobie coś przykuwającego i zniewalającego, bo poprzez szlachetność rysów przegładła w niej piękno wewnętrzne uczuć i myśli niezwykłych, właściwe tylko duchom wyjątkowym.

Iwan Siergiejewicz Turgieniew większą część życia spędził za granicą w ustawicznych wędrowkach po stolicach lub słynnych, cieszących się światową renomą uzdrowiskach Niemiec, Italii i Francji. On sam nazywał siebie *homo europaeus*. Kochał Rosję głęboką miłością synowską, choć ta Rosja nikolajowa tak bardzo zaprzeczała wszystkim jego idealom i umiłowaniom, lecz z drugiej strony żył bez Europy nie umiał, tęsknił ustawicznie za tą swobodą wolnego oddechu, którą mu dawała, gdy znalazł jej nie mógł w ojczyźnie podobnie jak Hercen, Bakunin i tylu innych przyjaciół demokratów.

Turgieniew przyjął na się dobrowolnie rolę łącznika między ojczyzną a Zachodem, do tej misji przywiązywał szczególną wagę, przekonany głęboko o jedności losów i przeznaczeń Europy, której integralną, nieodłączną częścią była w jego pojęciu Rosja wbrew popularnym w pewnych kołach ówczesnego społeczeństwa rosyjskiego tendencjom separatystycznym. Dla intelektualistów Zachodu był pierwszym wielkim reprezentantem kultury rosyjskiej, przedstawicielem tego fascynującego egzotykiem i niepokojącego tajemniczością Orientu. On pierwszy, przed Tolstojem i Dostojewskim, zwrócił uwagę Europy na literaturę swego kraju. Mógł zaś ten dobrowolnie przyjęty urząd ambasadorski pełnić z tym większą skutecznością, że przyjaźnił się z czołowymi przedstawicielami ówczesnej bohemii artystycznej Zachodu. W Niemczech pozostawał w bliskim kontakcie z Adolfem Menzlem, Bodensiedlem, z wybitnym nowelistą Pawłem Heysem; we Francji był członkiem ekskluzywnego „Kółka pięciu”, w którego skład wchodził przodujący pisarz-realisty: Flaubert, Goncourt, Daudet i Zola. Pani George Sand podejmowała go w swoim wiejskim zacisku w Nohant, Prosper Mérimée i Maupassant darzyli go pełnym szacunku uznaniem. Nie było w ciągu 40-lecia tych wojażów zagranicznych żadnej imprezy literackiej w skali światowej, w której by Turgieniew nie brał czynnego udziału.

W 1871 składa w Edynburgu wespół z elitą twórców Europy hołd pamięci Waltera Scotta. W 1878 w Paryżu u boku Wiktora Hugo przewodniczy wielkiemu międzynarodowemu kongresowi literackiemu. Jego własna twórczość zdobywa entuzjastyczne uznanie i podziw krytyki i publiczności zachodnioeuropejskiej, tak powściągliwej zawsze w pochwałach, tak wybrednej i wymagającej w zakresie rzemiosła twórczego. Stary uniwersytet w Oxfordzie w podziwie dla wielkości Turgieniewskiego dzieła, służącego niezmiennie sprawie wolności i sprawiedliwości, darzy rosyjskiego pisarza najwyższą godnością doktora honoris causa prawa zwyczajowego. Gdy Turgieniew umarł, cała Europa żegnała w nim jednego z tych wielkich twórców, którzy nie należą do jednego tylko narodu, lecz są własnością ludzkości. To co świat podziwiał i podziwiał w dziele Turgieniewa najświetniej chyba okre-

ślił w zwiezłej, syntetycznej formule inny wielki pisarz, równie fascynujący zagadką niepokojącego talentu, Joseph Conrad. „Wszystkie dary zostały skupione w jego kolebce” — pisał Conrad o Turgieniewie — „zdrowie absolutne i najgłębsza wrażliwość, najjaśniejsza wizja i największa szybkość wewnętrznej oddźwięku, przenikliwa intuicja i niezawodna szlachetność sądu, doskonała percepcja widzialnego świata i nieomylny zmysł dla tego, co ma znaczenie, co jest istotne w życiu mężczyzn i kobiet, najjaśniejszy umysł, najgorętsze serce, najszersze współczucie — i to wszystko w doskonałym umiarze”.

II.

TURGIENIEW urodził się w r. 1818 w gubernii orłowskiej, w rodzinie ziemiańskiej, i tu, w posiadłości rodzinnej Spaskoje Łutowinowo spędził lata dzieciństwa i wczesnej młodości. Ten pierwszy okres życia nie pozostał bez wpływu na świadomość i kształtowanie się osobowości duchowej przyszłego pisarza. W domu rodzinnym żywe były tradycje kulturalne, ojciec i bracia posiadali solidne wykształcenie systematyczne (zjawisko dość rzadkie w sferach ziemiańskich owego czasu), nie obce im były zainteresowania literackie. Ale donioślejsze nierównie od owych „obciążań” kulturalnych były bez wątpienia dla Turgieniewa dwa wielkie odkrycia, jakich dokonał w owych latach pierwszych, najświeższych najtrwalej ryjących się w pamięci wzruszeń: odkrycie przyrody, tej bujnej, napoły pierwotnej przyrody rosyjskiej, i odkrycie ludu rosyjskiego, jego doli i tragicznego losu. Można powiedzieć, że już wówczas, na progu życia, gromadził sobie Turgieniew owe rezerwy, podstawowy kapitał literacki obserwacji, wzruszeń i wspomnień, z którego czerpać będzie w ciągu swej długoletniej działalności pisarskiej. Cała twórczość Turgieniewa będzie już na zawsze ustawicznym wspomnianiem, powracaniem do miejsc ukochanych, do widoków, obrazów, sytuacji, typów ludzkich w młodości zaobserwowanych. Ten wspomnieniowy charakter twórczości przypomina tak bardzo Zeromskiego. U obu analogiczne obserwujemy zjawisko: przyłgnięcie całą duszą i sercem do kraju lat dzieciennych.

Na razie jednak o karierze literackiej nie było mowy. Rodzice słysząc by nawet o tym nie chcieli, a zwłaszcza matka, kobieta surowa, twarda, despotyczna, autorytatywna i bezwzględna w

swym stosunku do otoczenia, do dzieci i poddanych chłopów, sportretowana po latach w postaci owej kapryśnej wielkiej pani z opowiadania „Mumu”. Myślano zrazu o karierze naukowej. Studia uniwersyteckie w Moskwie, Petersburgu, a potem w Berlinie prowadzić miały w ostatecznym wyniku do habilitacji w zakresie filozofii, w której się przyszył docent specjalizował. Te nadzieje nie miały się jednak nigdy spełnić. Lata studiów, pierwszych podróży zagranicznych, lata coraz bardziej krytycznej obserwacji i oceny stosunków życia publicznego, społecznego i politycznego ówczesnej Rosji, lata pierwszych męskich, doniosłych ideowo przyjaciół (z Bakuninem, Bielińskim, Hercenem) wszystko to uświadamiało Turgieniewowi coraz wyraźniej jedyny kierunek jego życiowych przeznaczeń. Nieomylny instynkt urodzonego twórcy kazał mu zaniechać filozofii i chwycić za pióro. Literatura otwierała najszersze stosunkowo możliwości czynnego zaangażowania się w życie, wpływania na jego bieg i kierunek. W owych czasach, gdy działalność bezpośrednia, polityczna była wręcz niemożliwością, twórczość literacka stawała się niekiedy czynnem rewolucyjnym.

Pierwociny twórczości Turgieniewa noszą jeszcze wyraźne znamiona romantycznej manieri, można w nich odkrywać ślady Lermontowa, Puszkina, Byrona i Musseta. Ta twórczość liryczna, epicka i dramatyczna, świadcząca o niewątpliwym talencie, ciesząca się pewnym wzięciem w ojczyźnie pisarza, za granicą prawie nie znana, nie stała się jednak kamieniem węgielnym przyszłej sławy Turgieniewa. Wielki, genialny pisarz objawił się Rosji i Europie dopiero w prozie epickiej, w opowiadaniach i powieściach.

O d r. 1847 ukazywać się poczęły w periodyku „Sowremiennik” drobne utwory prozaiczne, które zwróciły uwagę Bielińskiego dojrzał w nich samookreślenie się pisarza, odnalezienie właściwej mu drogi twórczej. Zebrane i wydane w r. 1852 jako „Notatki myśliwego” stały się wydarzeniem w literaturze rosyjskiej dla autora brzemieniem w nieoczekiwane następstwa. „Notatki”, powstałe częściowo w Rosji, częściowo za granicą, były to drobne rodzajowo: obrazki, szkice, opowiadania, notowane na gorąco impresje, które Turgieniew, zapalony myśliciel, przynosił z włóczęg wśród pól i lasów swojej najbliższej ojczyzny. Zmysł obserwacji, wrażliwość na

piękno i czar widzialnego świata w połączeniu z umiejętnością ujmowania wizji w kształt plastyczny, pełen barw i ruchu, nadawały tym obrazkom, szkicom i opowiadaniom pozór, zniewalających prawdą wyrazu fragmentów rzeczywistego życia. Ale nie tyle ta imponująca zdolność zaklajania zewnętrznego zjawiskowości świata w doskonały kształt artystyczny zwróciła uwagę powszechną krytyki i czytelników, ile zawarty w tym nieposzlakowanym kształcie potężny ładunek rewolucyjnych sugestii.

Obok przyrody bowiem drugim bohaterem opowiadań i obrazków Turgieniewa jest chłop rosyjski z doby pańszczyźnianej, pokazany tu w całej prawdzie swojej tragicznej egzystencji, bez idealizacji, z całym bagażem swych niedostatków, dziedzictwem długich wieków ciemnoty, ale jednocześnie w całym blasku swych przyodzonych wartości, w harmonijnej prostocie wzruszeń i odruchów, łagodności serca, w zdrowym rozsądnym ustosunkowaniu się wobec dotychczasowych go zjawisk i problemów życia. Było to nieoczekiwane, odkrywcze i wstrząsające swoją tragiczną wymową przeświecenie duszy olbrzymiej części rosyjskiego społeczeństwa, a zarazem odsłonięcie tych straszliwych warunków bytowania, na jakie skazywał ją bezlitosny, wyniszczający ustrój. Znaczenia książeczka przysadawała obiektywizm, całkowity brak rezerwy, dydaktyki, publicystyki, pouceń. Autor niczego nie mówił wprost od siebie, zachował postawę bezstronnego obserwatora, ale obiektywna wymowa przedstawionych zdarzeń i zjawisk była jednoznaczna i — wstrząsająca.

W „Notatkach myśliwego” dopatrzo no się słusznie płomiennego protestu i oskarżenia pod adresem posiadających i odpowiedzialnych warstw. To też o ile opowiadania spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem w sferach postępowych, o tyle w kręgach zachowawczych nastawionych kół rządzących wywołały popłoch i oburzenie. Na Turgieniewa rząd nikolajowski spoglądał z tą niechęcią od dłuższego czasu. Pisarz wrócił był niedawno z zagranicy, przebywał w Paryżu w gorących dniach lipcowej rewolucji, stykał się tam z Hercenem — to wszystko było bardzo podejrzane. „Podlegająca” książeczka dopełniła miary. Turgieniew został aresztowany, a następnie oddany pod nadzór policyjny i zesłany do swego rodzinnego

gniazda z zakazem wydalania się gdziekolwiek. Zakaz anulowano dopiero z końcem 1853 r.

W ZYCIU pisarza następuje teraz długi, 30-letni okres „europejski”, kiedy to przebywa niemal stale za granicą od czasu do czasu tylko, na krótko odwiedzając ojczyznę. Tam też, na obczyźnie przeważnie, powstają wszystkie większe jego kompozycje twórcze, powieści: „Rudin” (1855), „Szlacheckie gniazdo” (1858), „Ojciec i dzieci” (1861), „Dym” (1867) — najważniejsze i najbardziej tylko wymienimy. Tematycznie wszystko to utwory nieskomplikowane. Turgieniew słusznie uważał, że wartość dzieła nie zależy od nadzwyczajności fabuły. Toteż powieści jego obracają się wszystkie w kręgu tego samego zasadniczego motywu, motywu miłości, ale przedstawionego zawsze na tle charakterystycznych, symptomatycznych zjawisk życia społecznego Rosji owych czasów.

Turgieniew, aczkolwiek przemieszkiwał teraz stale niemal za granicą, z krajem kontaktu nie zrywał, miał silne wyczuć dokonujących się w ojczyźnie przemian, orientację w prawdach, ideach, poglądach nurtujących świadome warstwy społeczeństwa rosyjskiego. Za granicą obserwował pilnie współrodaków, studentów poszukujących wiedzy w niemieckich uniwersytetach, demokratów-emigrantów, wędrującą corocznie do wód śmiałankę petersburskiej i moskiewskiej socjety. Uzupełniały tą drogą zdobyty materiał wspomnienia lat czterdziestych i tak oto powstawały w każdej powieści owe rewolucyjne przekroje i obrazy życia rosyjskiego, wzorunków reprezentatywnych typów ludzkich, wytworów specyficznego ducha czasów, owe bezbłędne i oświecające trafnością diagnozy chorób wieku, jedynym słowem to społeczne romanosów Turgieniewa, które nadaje im wagę dokumentów.

Już pierwsza powieść „Rudin” w postaci tytułowej przynosiła uderzającą trafny portret „bohatera swych czasów”, rewolucjonisty marzyciela, pełnego wielkich porywów, lecz bez woli, niezdołnego do czynu. Typ reprezentacyjny, bardzo często w latach trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku spotykany wśród światłej, wykształconej na Zachodzie, postępowej młodzieży rosyjskiej, powracający wielokrotnie na kartach innych także dzieł Turgieniewa, przedstawiony został współcześnie w sposób klasyczny w słynnym, niemiernym jak Don Kichot, jak Hamlet, jak Otello „Oblomowie” Gonczarowa. Turgieniew wcześniej dojrzał to zjawisko społecznie groźne, stąd w jego powieściach te natury hamletyzujące, ludzie dołni, wykształceni, wymowni, błyskotliwi, pełni najlepszych chęci, aspiracji, porywów, ale bezsilni życiowo, nieproduktywni, cofający się przed koniecznością decyzji, na skutek atrofii woli odzierający się z osobistego szczęścia, bezpożyteczni, niepotrzebni społeczeństwu.

W „Szlacheckim gnieździe” inny problem, równie doniosły prowokujący szerokie, zasadnicze dyskusje, dzielący myślącą część inteligencji rosyjskiej na dwa zwalczające się obozy: zwolenników tzw. orientacji zachodniej, europejskiej Rosji i stronników swoistej autarkii narodowej, nawroto do rdzennie ruskich, rodzinnych źródeł odnowy społecznej i kulturalnej życia publicznego. Ow dylemat, antynomiję dwu postaw wobec kluczowych zagadnień bytu narodowego zilustrował autor na postaciach Panszyna i Lawreckiego. Stanowisko zajmował obiektywne, zgodne z zasadą bezstronności epickiej, choć bez wątpienia Lawrecki zwolennik wejścia w lud i pracy organicznej na ojcowiznie, przetrasta wartościami intelektu i uczuciem pustego firyka, pozera, „wielkiego” człowieka in spa.

(Dokończenie na str. 6)

WYNIKI KONKURSU  
IM. K. PRUSZYŃSKIEGO

JURY konkursu im. Ksawerego Pruszyńskiego w składzie: Jan Dobraczyński, Wojciech Kętrzyński, Stefan Lichański, Mieczysław Pruszyński i Stefan Żurowski, powołane z okazji złożenia przez przyjaciół s. p. Ksawerego Pruszyńskiego funduszu na nagrodę Jego imienia, która miała być przyznana autorom najlepszych opowiadań o tematyce wrzesniowej, po rozpatrzeniu kilkudziesięciu prac postanowiło:

pierwszej nagrody nie przyznawać;

drugą nagrodę w sumie 1.500 zł. przyznać autorowi opowiadania p. t. „Białe rękawiczki” (godło „Oset”);

przyznać trzy wyróżnienia po 500 zł. każde autorom opowiadań: „Brat” (godło „Stryszawa”), „Bosy wrzesień” (godło „Notec”), „Bohaterowie bez broni” (godło „Pawel”).

Po otworzeniu kopert opatrzonych godłami, a zawierających nazwiska autorów stwierdzono, że:

Drugą nagrodę za opowiadanie p. t. „Białe rękawiczki” otrzymała JADWIGA POLESZAK z Lublina,

Natomiast wyróżnienia otrzymali: —

za opowiadanie p. t. „Brat” — HENRYK BOHDANOWICZ z Olsztyna,

za opowiadanie p. t. „Bosy wrzesień” — FRANCISZEK FENIKOWSKI z Gdyni,

za opowiadanie p. t. „Bohaterowie bez broni” — WANDA CHYLICKA z Gdańska.

Z obfitego pokłosa konkursu jury poleciło uwadze redakcji „Dziś i Jutro” kilka innych opowiadań, z których najciekawsze wykorzystane zostaną częściowo w charakterze materiału dokumentacyjno-literackiego na łamach „Dziś i Jutro”.



bezkrytycznego chwalcę wszystkiego, co zachodnie, Panszyna.

W NAJLEPSZYM bodajże, naj-słynniejszym swym dziele „Ojcowie i dzieci” podjął znów pisarz inny, równie doniosły, aktualny, a jednocześnie wieczny problem antagonizmu dwu pokoleń, starych i młodych, generacji gotującej się do odlotu i wstępującej w życie. W połowie wieku zagadnienie było szczególnie palące; żyło jeszcze pokolenie Puszkina, wychowane na romantycznej poezji, pokolenie Kirsanowych, rozkochane w sztuce, w pięknie, w wytwornych formach życia, wierzące jeszcze w wielkie, pochłaniające uczucia, a już wkraczało pokolenie nowe, pokolenie Bazarowych, trochę cyniczne i brutalne, kpiące ostentacyjnie z sentymentów, sztuki, piękna, wierzące tylko w ma-

gię cyfr, fizjologię, ekonomię. Z niewzruszonością realisty iście flaubertowską odtworzył autor w świetnych dysputach i obrazach odwieczny dialog dojrzałości i młodości, rozłożył bezstronnie światła i cienie, dowiódł, że wbrew niepokonalnym z pozoru sprzecznosciom różnice nie są w istocie tak bezwzględne. Wobec wielkich uczuć i namiętności, w niedoli i cierpieniu zacierają się rysy antagonistyczne, odsłania wieczna, niezmienna natura ludzka, to człowieczeństwo, co ponad sprzecznocią chwilą łączy nieskończone pokolenia w jedną wielką rodzinę, związaną tożsamością ostatecznych losów i przeznaczeń.

# TURGIENIEW

(Dokończenie ze str. 5)

Książka wywołała burzę i protesty. Autorowi nie darowano rezerwy powściągliwości w opowiadaniu się po tej czy tamtej stronie, żądano rozstrzygnięć radykalnych, nie pojmowano, że autor tego wyboru dokonać nie chciał, że miał prawo korzystać z należnego mu jako artyście przywileju odtwarzania życia bezstronnie, takim, jakim je widział.

Ta niewzruszoność, obiektywizm realisty nie zawsze zresztą dopisywały. Czasem pod wpływem naddciągającej, fali pesymizmu, nastrojów spleenu, rozgoryczenia i zwątpienia załamywał się realizm analizy, dochodziły do głosu skłonności satyryczne w karykaturalnym wyjaskrawieniu. Tak w „Dymie” w monstrualnych wymiarach karykatury i groteski ukazane zostały dwa obozy przeciwstawne: reprezentowany przez generałów obóz konserwy i wstecznicstwa i stronnictwo demokratów, pokazane tu na podstawie obserwacji stosunków panujących wśród rosyjskiej emigracji i liberalizującej, włączającej się po Zachodzie studenterii. Autor nie oszczędził ni jednej ni drugiej strony, bez wątplenia przesadził, nie dojrzał żadnych prawie wartości pozytywnych, obnażał z szyderstwem i ironią głupotę, egoizm, skrajne wstecznicstwo jednych, bezplodne gadulstwo, sekciarstwo, pseudopostępowy kabbatyzm drugich. Wszystko, wszystkie prace i dążenia, jego własne życie i życie jego narodu wydawały mu się czczym dymem. Na szczęście te akcenty całkowitej niemal prostracji i swoistego nihilizmu nie były trwałe. W jednej z ostatnich swych powieści, w „Nowinie” nakreślił pisarz postać bohatera pozytywnego Solomona, zachodnika-demokrata, organicznika, przygotowującego się solidarnie, systematycznie, mądrze, w oparciu o gruntowną wiedzę do ofiarnej pracy obywatelskiej.

TURGIENIEW swój rozgłos za życia, sławę, słowa uznania i polepszenia zawdzięczał, zwłaszcza w Rosji owoczesnej, tej to właśnie omówionej skrótowo problematyce aktualnej. Ona to powokowała niekończące się dyskusje, dzieliła krytyków i czytelników na obozy, przysparzała pisarzowi wrogów i przyjaciół. Tymczasem, rzecz znamienita, ta problematyka aktualna zajmuje w powieściach Turgieniewa drugoplanowe w istocie rzeczy miejsce i nie ona zdobywała mu uznanie czytelników Zachodu. Turgieniew jest w swoich utworach powieściowych i w swych nowelach przede wszystkim wielkim historyografem i analitykiem dzieł ludzkich uczuć. I gdy owe tak ekscytujące współczesników i rodaków autora problemy ideowe są dziś dla nas przynajmniej do pewnego stopnia tylko wspomnieniem minionego czasu, godnym bez wątpienia uwagi echem przebrzmiałych wałk i zmagani. Turgieniew jako piewca miłości przemawia dziś z równą siłą, budzi wzruszenia równie głębokie, jak niegdyś. Jego utwory osiągają najwyższy poziom sztuki w tej dziedzinie wymagającej wyjątkowej subtelności, bo grożącej co krok niebezpieczeństwem osunięcia się na mielizny banału i sensacji. Pisarz przemyslał głęboko ów odwieczny, fascynujący sztukę wszystkich czasów problematę miłości i niewiasty. On sam w ciągu długich lat borykał się z jedynym, wielkim, pochłaniającym go do ostatnich dni, tragicznym, beznadziejnym uczuciem do pani Garcia-Viardot. Stworzył sobie swoistą metafizykę miłości, którą pojmował jako siłę potężną, przemożną, a jednocześnie złowrogą, bo naruszającą równowagę sił wewnętrznych w człowieku i w przyrodzie. Stąd tyle bohaterów i bohaterek Turgieniewa cofa się z lękiem przed tym żywiołem kuszącym, a jednocześnie groźnym, tajemniczym, wciąż

gającym w jakąś otchłań mroczną, zagadkową. Buntował się jednakowoż pisarz przeciw takiej przez siebie samego stworzonej koncepcji, ukazywał piękno i błogosławieństwo miłości zwłaszcza wówczas, gdy dźwiga nas ku górze, gdy wydobywa z człowieka nieoczekiwane wartości moralne i przeobraża go wewnętrznie.

W tym malowaniu dzieł ludzkich serc potrafił zachować zadziwiający umiar, miał zdolność rozświetlania tajemnic duszy owymi genialnymi błyskami intuicji, które zdarzają się jedynie największym artystom w wyjątkowych chwilach twórczego jasnowidzenia, umiał odtwarzać i analizować zawile perypetie, komplikacje, nardziny i zmierzchy uczuć subtelnych, delikatnych lub namiętnych i pochłaniających całą istotę człowieka z ujmującą dyskrecją, bez ostentacji i patosu, słowem prostym lecz nieomylnym, odsłaniającym istotę rzeczy z prawdą zdumiewającą. Jako psycholog miłości wytrzymuje Turgieniew próbę porównania z każdą literaturą, potrafił być odkrywczym w dziedzinie, której dożytkali najwięksi twórcy świata i o której powiedziano — zdawało by się — już wszystko, co się da powiedzieć. I ta właśnie możność dawania ujęć świeżych i oryginalnych, wzbogacania istotnego wiedzy naszej o ludzką duszę, zjednywała Turgieniewowi podziw jego przyjaciół i zapewniała tę niewzruszoną pozycję, którą w literaturze świata zajmuje.

## III

TURGIENIEW jest jednym z najbardziej świadomych artystów świata. Miał doskonale, nieomylnie wprost wyczuć formę. Większość jego powieści nie przekracza 250 stron druku; szczegół zewnętrzny, zdawałoby się na pozór obojętny i nieistotny, znamienity i wiele mówiący, świadczący o absolutnym władztwie pisarza nad materiałem. Nigdy napór tworzywa nie rozsada u Turgieniewa wiązań głęboko i celowo przemyślanej architektoniki dzieła. Kompozycja jego powieści odznacza się rygorystyczną zwartością, spotykana jedynie w klasycznych typach noweli. Napisał ich zresztą wiele i niejedna jest arcydziełem. Czytelnika zdolność zachwycać się samym mistrzostwem artystycznym rozwiązań problematów sztuki pisarskiej pociąga w Turgieniewie zdumiewające opamiętanie, umiar, powściągliwość. W jego dziełach próżno szukać obrazów, postaci, nawet słów zbytycznych. Wszystko jest tu konieczne, nieodzowne i wszystkiemu wydzielono tyle tylko miejsca, ile mu się w układzie całości należy ze względu na rolę, funkcję i znaczenie. Wszystkie obrazy, zdarzenia, zjawiska wiążą się w mocno spojone ogniewa, wszystkie zmierzają z jakąś nieodpartą logiką do wybitnego im przez twórcę celu. W rezultacie dzieło staje się jak gdyby miniaturowym mikrokosmosem, w którym wszystko dzieje się na zasadzie matematycznych niemal obliczeń na mocy utajonych, niepisanych praw.

I rzecz znamienita, to dobrowolne zakreślenie sobie granic i rygorystyczne przestrzeganie narzuconych sobie nakazów nie odbiło się w najmniejszym stopniu na głębi i szerokości Turgieniewskiego obrazu świata. W ramach konstrukcji zwartych i oszczędnych potrafił pisarz zawrzeć całe bogactwo swych doświadczeń i spostrzeżeń: swoje przekroje i diagnozy społeczne, swoje wspaniałe, skąpe w słownym wyrazie, a jednak pełne plastyki i życia obrazy ojczyzny przyrody, przede wszystkim zaś swoją głęboką, budzącą podziw i szacunek znajomość ludzkiej duszy. Bo Turgieniew to jeden z najwybitniejszych w literaturze świata znawców i analityków człowieka. Niezwyczajna subtelność i wrażliwość dozwalała mu rozumieć najspieczniejsze reakcje i odruchy charakterów choćby najbardziej jemu obcych i przeciwnych. Toteż postać

jego to nie bezkrwiste widma papierowe, lecz żywi ludzie, których dzieje jakoś głęboko, a na mocy tajemnych, twórcy tylko wiadomych praw angażują czytelnika i w pamięci jego zostają niezniwiedzialne ślady. Zanim nadal swym postaciom ostateczny kształt i fizjonomię obcował z nimi długo w samotności, zakładał dla nich specjalne kartoteki i dzienniki, w których notował skrupulatnie ich personalia, przebiegi: myśli, uczuć i nastrojów przeżywając wielokrotnie razy z tymi wytworami własnej wyobraźni ich fikcyjne, a jednak tak ludzkie prawdą dzieje.

Mistrzostwo najwyższe osiągnął w określeniu postaci kobiecych. W jego kreacjach męskich powtarza się z nieznanymi odmianami ten sam w zasadzie typ bohatera naznaczonego jakimś piętnem tragicznym wewnętrzniego peknienia, które każdy z nich dziedziczy po swoim twórcy. Kobiety Turgieniewa są odmienne, różne, a więc ciekawsze. Stworzył pokazną ich gromadę, obdarzył każdą bogactwem indywidualnych, niepowtarzalnych, rysów, otoczył ją nieuchwytną, subtelną aurą czaru, piękna i poezji i tą wewnętrzną siłą życia, która kreacje zrodzone w wyjątkowych momentach szczególnego natchnienia wynosi do rangi wiecznych, nieśmiertelnych symboli bólów ludzkiej duszy.

A JAKAZ jest tonacja dzieł Turgieniewa, ów ton czy nastrój podstawowy, w którym przejawia się uczuciowa, filozoficzna i moralna postawa twórcy wobec świata i człowieka? Otóż Turgieniew posiadał głębokie poczucie tragizmu życia, ludzkiego losu. W utworach jego nie ma obrazów pogodnego, niezachwianego, bezpiecznego szczęścia. Jego bohaterowie cierpią, umierają lub poddają się z rezygnacją nieodwracalnym wyrokom przeznaczenia. Miłość, uczucie mimo wszystkich zastrzeżeń najsilniej przez pisarza afirmowane i stawiane w rzędzie wartości najwyższych, nabył często zamiast radości i szczęścia niesie ból i cierpienia. Istnienia zmarzone bezpożytecznie. Skazane na bezpłodną, bezowocną walkę z bezwładem woli, męczyciżni zdolni i wartościowi, którzy duszą się i giną w atmosferze upodlenia, kobiety piękne i subtelne, ale zdeprawowane przez wielki świat, niezdolne już wznieść się ponad przepęchy i złudny blask salonów mimo pogardy dla tego życia w wiecznym kłamstwie i obłudzie, istoty czyste i szlachetne, którym los przelał życie u progu szczęścia, przekreślone nadzieje, stracone złudzenia, wielkie uczucia na zawsze pogrzebane, skazane na wieczystą mgłę niespełnienia — oto świat twórczości Turgieniewa, cały spowity w mrokach i ciemnościach.

Ton pesymizmu, elegijnego smutku przenika do głębi dzieła pisarza. A jednak nie jest to pesymizm rezygnacji, co prowadzi do bezwzględnej złożenia broni, bezczynności i nihilizmu. Tragiczne odczucie antynomii bytu nie niweczy wiary w życie i w człowieka. Ludzkość od wieków buntuje się, walczy, szturmując niebiosa, cierpi i upada, a jednak dźwiga się wciąż na nowo i kroczy drogą, po której wiedzie ją głos sumienia i powołania. Na gruzach szczęścia i zgasyłych nadziei zakwita nowe, triumfujące, niezmożone życie, w opustoszałym domostwie rozbrzmiewa po latach zwycięski głos młodego pokolenia. Godzić się z życiem, mimo klęsk i rozczarowań wciąż podejmować trud istnienia, pełnić swój obowiązek, być wiernym swemu powołaniu — oto do czego wzywa genialny pisarz. Bo w tym właśnie wielkość człowieka, że potrafi udźwignąć swój los. Tym zaś, których życie nabyło boleśnie dotknięcie, którzy nie znajdują już w sobie mocy, ażeby do świata powrócić, tym zostaje ta wielka nadzieja, co mówi nam o wielkim życiu i wiecznym pojednaniu. Tak mimo tonów głębokiego tragizmu każde dzieło pisarza kończy się akcentem potwierdzenia, zgody, afirmacji, wiary w człowieka i w wielkość jego przeznaczeń.

Artur Hutkiewicz

## WŚRÓD POETÓW\*)

MACHTUMKULI (FRAGI)

### tęsknota po synu

Dusza moja gore,  
na oślep sie mioda.  
Mufti czuta Koran  
od Boga czeka nagrody.

U tych dzieci sie rodzi,  
tam córka rośnie mioda.  
Topole sie srebrzą,  
wiatr je chyli ku wodom.

Twarz, zakruwszy dlonią,  
starucha cicho placze.  
Dżigit za sławą goni,  
gdzie oczy powiodą.

Jedni po obcych krajach  
bogactwa zdobywają.  
Drudzy sie weselą  
towami i swobodą.

W domu niedza surowa  
i tzy wlewa wdowa.  
Do drzewi mufta kołaczę  
z podatkiem i haraczem.

Los rozląk nas nęka,  
wiara stala sie męka.  
Zazdrość łapczywie sigga  
po kęs twego chleba.

Junak konia dosiada  
i mknie lotem ptaka,  
gdzie krew, bitwa i zwada  
i rojne świszczą strzaly.

Dla Machtumkuli za jedno:  
czy góra czy dolina.  
Ręce szukają sunn  
i objąć by go chciały.

Giework EMIN

### Nad Arazem

Pod niebem bezchmurnym, w niebieskiej oddali,  
gdzie śpiewna mowa rozbrzmiewa w dolinach,  
poluska Aراكs blaskiem chłodnej stali,  
ziemię Armeńską niby niecz rozcina.  
Dwa brzegi. Oba w urwiskach i trawach,  
obu jednaka dla oczu ponela,  
oba podobne jako dwa bliźnięta.  
Wąwóz Masisa: i z lewa i z prawa  
jary, strumienie i zieleń na skale,  
i staru Aراكs rozlany wspaniale.  
Aie wystarczy wspiąć się, rzucić okiem,  
by dostrzec, że ład rozdzielony biegiem  
rzeki — jest czasów dwóch — nie krajów brzegiem.  
Spójrzcie.

Tam oto wieś opustoszała,  
wyschnięte studnie i drzewa z rękoma  
wyciągniętymi, pusika nieruchoma,  
której krzyk płaka z niebios nie przecina,  
a z ziemi pieśnią nie budzi dziewczyna.  
U nas na polach chwieje się pszenica,  
a tam w upale ziemia na proch starta.  
Jak naszych dawnych dzieł straszna karta,  
leży przed nami naga niewolnica.  
Poeto, sławiąc w wierszach piękność kraju,  
pamiętaj, nie zmył właściwego tropu:  
kraj — to nie tylko ta ziemia pod stopą,  
to szczęście, które ziemi — ludzie dają.  
Pod niebem bezchmurnym, w niebieskiej oddali,  
gdzie śpiewna mowa rozbrzmiewa w dolinach,  
poluska Aراكs blaskiem chłodnej stali,  
ziemię Armeńską niby niecz rozcina.

Igor RINK

### List

(do byłego żołnierza niemieckiego)

Zolnierzami byliśmy obaj.  
I niebawem dziesięć lat minie,  
gdy poznałem ciebie w okopach  
tam pod Moskwą na zimnej równinie.  
Później długa bolesna droga...  
Białej izby szpitalnej prostokąt.  
A odlamki twego granatu  
w mojej pierś, żołnierzu, tkwią dotąd.  
Dzień zwycięstwa na Elbą, dzień sławy.  
Wiodą ciebie, przede mną stawiają.  
Wychudzony byłeś i słaby,  
i wygnaniec we własnym swym kraju.  
Oglądałeś mnie tępo i chmurnie,  
poprosiłeś o wody dzbanek.  
Usłyszałem, żeś mruknął: „Zbyt późno  
Hitler odszedł, tykawszyszy cjanek”.  
Piszę list ten do ciebie, wrog dawny.  
Zolnierzowi serce tak kaze.  
Wyście mlode życie tracili,  
by zyskali dochód handlarze.  
Mam odbiornik u siebie w mieszkaniu.  
Głosu twego posłuchałbym chętnie...  
Wieczorami na berlińskiej fali  
co raz mocniej słowo „pokój” tętni.  
Troška łwoja jest moją troską,  
węc zaufaj, nieznanu żołnierzu.  
Daj mi rękę, my obaj — wojnę  
zwyćiężymy. Niezbicie w to wierzę.

Przełożył: Jan Górski

\*) Sa to przekłady trzech poetów różnych narodowości. Wszystkie dokonane z języka rosyjskiego. Oprócz Machtumkulego pozostali poeci należą do współczesnych. Machtumkuli (Fragi) wielki poeta liryczny turkmeński z w. XVIII. Giework Emin — armeński, Igor Rink — rosyjski. Niektóre wiersze podane w skrócie.



Alessandro MANZONI

# FERRER WALCZY O CHLEB DLA LUDU

tłum. Maria OBRAPAŁSKA

(fragment powieści mediolańskiej z XVII w. pt. „Narzeczeni“.)

... W wirze walki dwóch stronnictw o władzę nad roznamiatnionym tłumem oblegającym pałac namiestnika prowincji przybycie we własnej osobie Antoniego Ferrera przeczuliło w jednej chwili szalę zwycięstwa na stronę tego obozu, którego widoki na wygraną były dotychczas znikome i który nie miałby już ani sił,

tych głosów rosła z każdą chwilą, zuchwałosc przeciwników słabła i wkrótce zwolennicy pokoju, których akcja ograniczała się dotychczas do słów i przekonywań, teraz czynnie wzięli się do dzieła przy pomocy pięści uciszając najzaciętszych z przeciwnego obozu, aby w ten sposób pozbawić ich władzy nad tłumem. Zwycięzeni trzęsąc się z gniewu jeszcze grozili, jeszcze starali się stawić opór, ale już sprawa przele-

nać przed majestatem Filipa IV; nie było jednak rady — musiał i dziś w ten wyraz przystroić twarz. Nawet coś mówił do tłumy, ale wrzawa tylu głosów, okrzyki: „niech żyje!“, którymi go witano, bardzo małej tylko liczbie osób pozwalały usłyszeć to, co mówił. Dopomagał sobie więc ruchami: to przykladał do ust końce palców, przesyłając pocałunki ludowi w podzięcie za owacyjne przyjęcie; to ręce z okna powozu wysuwał prosząc o zrobienie trochę miejsca; to poruszał nimi wymownie, dając do zrozumienia, iż życzyłby sobie, aby wrzawa nieco się uciszyła; a gdy mu się udawało na chwilę tego dokazać, najbliżsi stojący słyszeli i podawali dalej wypowiedziane przez niego słowa: Chleb! Dużo chleba! Przybywam wymierzyć sprawiedliwość! Panowie, raczcie się trochę z drogi usunąć.

— Niech żyje Ferrer! Dzielny Ferrer! Szlachetny Ferrer! Chleba! Chleba!

— Tak, chleba, chleba — odpowiadał Ferrer — będzie chleb, dużo chleba: ja wam to przrzekam, ja — i rękę przykladał do piersi.

— Rozstąpcie się nieco. — I dodawał zaraz: — Jadę po namiestnika, aby go osadzić w więzieniu, aby go ukarać, jak na to zasłużył — a półgłosem po hiszpańsku kończył: — o ile zawinił. — Pochylając się naprzód, również po hiszpańsku, mówił szybko do woźnicy: — Pedro, prędzej, jeśli możesz.

Woźnica uśmiechał się do tłumy i to z taką łaskawością, jak gdyby i on był ważną osobą, z wdziękiem nierównanym kołysał leciutko biczyskiem na prawo i na lewo, prosząc cisnących się dokoła ludzi, aby zrobili trochę miejsca dla pojazdu; równocześnie przemawiał:

— Na bok, na bok panowie! Proszę, bardzo proszę! Trochę miejsca, troszeczkę, abyśmy tylko mogli przejechać!

Tymczasem gorliwi spośród życzliwych usiłowali spełnić tak miłą prośbę, to jest utorować drogę.

RENZO, który przez dłuższą chwilę wpatrywał się z zachwytem w sędziawą, pełną godności postać, o rysach zdradzających wzburzenie, nieco oziębiał wskutek zmęczenia, lecz ożywiona zapalem i opromieniona nadzieją uratowania człowieka z grożącej śmiercią opresji, Renzo, jak się rzekło, odrzucił wszelką myśl o wycofaniu się z cizby, postanowił poprzeć Ferrera i nie odstąpić go, póki nie dopełni celu. Ruszył niezwłocznie pomiędzy torujących kanclerzowi drogę, a że nie próżnował i nie dał się innym wyprzedzić — to rzecz pewna. Zrobił się luźniej. — Możecie jechać — mówił ten i ów do woźnicy, usuwając się na bok lub podążając naprzód.

— Jedź, Pedro, a prędko, ostrożnie, uważnie — mówił do woźnicy Ferrer. Karoca ruszyła z miejsca. Wielki kanclerz szafując hojnie na prawo i lewo ukłonami dla całej publiczności, miał inne jeszcze ukłony, którym towarzyszył wdzięczny uśmiech i którymi zaszczycał wyłącznie tylko osoby okazujące mu największą pomoc. Nasz Renzo otrzymał niejedną z takich uśmiechów; co prawda słusznie mu się też należały, bo w tym dniu dzielniej służył wielkiemu kanclerzowi, niż by to potrafił najgorliwszy z jego sekretarzy. Młody góral uszczęśliwiony dowodem takiej łaski odnosił wrażenie, że pomiędzy nim a Antonim Ferrerem zawiązała się już przyjaźń na dobre.

Skoro karoca już raz ruszyła z miejsca, choć niezmiernie powoli, a nawet zatrzymując się, przybliżyła się jednak do celu podróży. Mówię — podróży, bo choć na przebycie owej przestrzeni, która powóz od obleżonego domu dzieliła, w zwy-

łych warunkach i parę minut by wystarczyło, teraz ze względu na czas swego trwania była to prawdziwa podróż i tak by ją nazwał każdy, gdyby go nawet nie ożywiała ta święta niecierpliwość, jaką pałał Ferrer. Jak fale dokoła okrętu prującego wzburzoną morską toń, tak lud poruszał się dokoła kolasy, przed nią i poza nią, po prawej i po lewej stronie. Stokroć głośniejsza od ryku burzy, bardziej ogłuszająca i skłócona była wrzawa tłumy. Ferrer rzucając się od jednego okna do drugiego, cały w ukłonach, uśmiechach i ruchu starał się jednocześnie choć cośkolwiek z tego piekielnego hałasu wyłowić, aby móc dostosować swe odpowiedzi do żądań tłumy; chciał przynajmniej rozmówić się z tymi najbliższymi biegnącymi obok karocy, ale sprawa to była trudna, najtrudniejsza może ze wszystkich, jakie wielki kanclerz musiał załatwiać w ciągu długoletniego sprawowania swojego urzędu. Wszakże jak łoskot wielkiej racy daje się słyszeć wyraźnie wśród huku ogni sztucznych, tak i o uszy kanclerza odbijały się chwilami oderwane słowa, a nawet całe zdania powtarzane jednocześnie przez kilkanaście najbliższych głosów. Toteż starając się odpowiadać mniej więcej logicznie na te wrzaski lub powtarzając wyrazy odnoszące — jak wiedział — najlepszy skutek, albo wreszcie zdania, których chwila obecna zdawała się konieczną wymagać, wielki kanclerz mówił również przez całą drogę bardzo wiele. — Tak, tak, mili panowie, chleb, dużo chleba, wszystko to będzie. Ja go do więzienia zawiodę, będzie ukarany... (o ile zawinił — dodawał półgłosem po hiszpańsku). — Tak, tak, ja tu teraz rządzić zacząłem; chleb powinien być tani; to jest, chcę powiedzieć, iż nasz najmiłościwszy pan nie pozwoli, aby najmilszy jego poddani mieli głód cierpieć. — Aj, aj, panowie, ostrożnie, ostrożnie! Czy nie wam się złego nie stało? — i znowu po hiszpańsku: — Pedro, uważnie, prędzej. — Tak, dużo, dużo chleba. Rozstąpcie się trochę, proszę, bardzo proszę. Tak, chleb, chleb. Do więzienia, do więzienia. Co? Co? — pytał naraz jakiegoś człowieka, który rzucił się do drzwiczek powozu, aby mu wrzasnąć nad uchem jakąś swoją prośbę czy radę, lecz już

nad wywalceniem tu nieco swobodnego miejsca. Za pomocą próśb, gróźb, tłumaczeń i napomnień, odsuwania, odpychania, rozdawania potężnych szturchańców na prawo i lewo, wreszcie wskutek podwojenia się sił i energii, które wzmagają się zwykle, gdy już wiemy, że upragniony cel zostanie wkrótce osiągnięty, udało im się na koniec rozdzielić tłum na dwie połowy, a następnie te obie połowy o ile możliwości najdalej odsunąć od siebie, tak że pomiędzy drzwiami a kolosą, gdy ta stanęła, utworzyła się wolna przestrzeń.

Ferrer odetchnął z głębi piersi, gdy spostrzegł ów placyk oczyszczony z ludu i drzwi jeszcze zamknięte. Zamknięte, to jest nie otwarte na roścież; bo zawiasy były już prawie poodrywane, a same drzwi, całe w szczelinach, kresach, cięciach i dziurach ukazywały na środku, w wielkim otworze, gdzie był zamek, kawał mocnego łańcucha, który choć także już silnie nadwerżony, trzymał od strony wewnętrznej złączone jeszcze skrzydła. Jakiś człowiek przykładając twarz do owego otworu zawiadomił znajdujących się w domu, że Ferrer przyjechał; inny pośpieszył otworzyć drzwiczki karocy; starzec najpierw głowę wychylił, potem stanął i opierając się na ramieniu owego poczciwca, który pełnił w tej chwili obowiązek lokaja, nie wysiadł od razu, ale zatrzymał się na stopniu karocy. Tłum tak z jednej jak i z drugiej strony wspiał się na palce, aby więcej zobaczyć: tysiące twarzy, tysiące oczu w jedną zwróciło się stronę; ogólne napięcie uwagi i ciekawości sprawiło, że na chwilę zapanowała wielka, zupełna cisza. Ferrer, który w tej chwili właśnie zatrzymał się na stopniu, powiół wzrokiem dokoła, ukłonił się tłumowi jak mówca z podium i przykładając lewą rękę do piersi rzekł: — Tak, chleba i sprawiedliwości! — po czym wyprostowany, pewnym krokiem, spowity w swą szeroką togę podążył ku wejściu wśród niemilkających owacji.

Po owych rozrachach, które rozpoczęły się w dniu św. Marcina i trwały przez cały dzień następny, zdawało się, że w Mediolanie jakby cudem znów wróciła obfitość. Mładki dużo, chleba pod dostatkiem w każ-



ani szans uzyskania przewagi nad silniejszym przeciwnikiem, gdyby pomoc choć trochę się jeszcze opóźniła. Człowiek ten zdobył popularność wprowadzeniem stałych cen na chleb, co było jego wynalazkiem, a chroniło spożywców przed wyzyskiem spekulantów, oraz bohaterką postawą wobec wszelkich prób udaremnienia lub zmodyfikowania tego zarządzenia. Popularność ta wzmogła się jeszcze dzięki zaufaniu, jakie sędziwy dygnitarz okazał ludowi, zjawiając się bez straży, bez urzędowej eskorty nawet, wśród wzburzonego tłumy. Cudowny skutek wywarła także wieść, że przybywa, aby odwiedzić do więzienia namiestnika; granicząc z szalem oburzenia na tego nieszczęśnika, które wzmogłoby się jeszcze, gdyby nie idąc na żadne ustępstwa próbowane sfłumić je przemocą — obecnie, pod wpływem obietnicy zadośćuczynienia, niby kości rzucanej psu, powoli zaczęło słabnąć, ustępując miejsca innym, wcale odmiennym uczuciom, które zaczynały już budzić się w tłumie.

ZWOLENNICY pokoju odtchnawszy swobodniej współdziałali z Ferrerem na tysiączne sposoby: ci, którzy znaleźli się w jego pobliżu, podniecając ogólny zapal radoznymi okrzykami, starali się jednocześnie lud nieco odsunąć na bok, aby utorować drogę dla powozu; inni przyklaskując mu powtarzali i podawali z ust do ust słowa przez niego wypowiedziane lub te, które ich zdaniem winien był w tych okolicznościach wypowiedzieć, i usiłując uciszyć szalejących krzykaczy zwracali przeciwko nim niechęć zmiennego tłumy, który już zaczynał ulegać nowemu prądowi. — Który tam nie chce wołać: „niech żyje Ferrer“? Chciałbyś może, aby chleb nie był tani? Łośrem jest, kto nie chce się zgodzić, aby sprawiedliwość została wymierzona po chrześcijańsku; ci, co podburzają lud, robią to dlatego, aby w zamieszaniu namiestnik mógł uciec. Do więzienia z namiestnikiem! Niech żyje Ferrer! Z drogi! Miejsce dla Ferrera! — Ilość

wu krwi była stracona; wyrazami, które zagłuszały inne, były teraz — Do więzienia! sprawiedliwości! Ferrer! Po krótkiej, acz zaciętej walce odparto od drzwi pałacu namiestnikowskiego tych, którzy przy nich tak gorliwie pracowali; inni zajęli ich miejsce, aby nie dopuścić do wznowienia szturmów i utorować Ferrerowi drogę. Jeden z takich obrońców podnosząc głos i przykładając usta do drzwi (szczeliny w nich nie brakło) zawiadomił znajdujących się wewnątrz domu, iż pomoc przybywa i że namiestnik ma się przygotować jak do drogi — bo natychmiast pójdzie... do więzienia: Ehm, zrozumiano? Do więzienia.

— Czy to ten Ferrer, który pomaga w pisaniu praw i wyroków? — zapytał jakiegoś nowego sąsiada nasz Renzo, przypominając sobie w tej chwili owo: *vidit Ferrer*, które mu wrzasnął nad uchem czcigodny doktor, gdy pokazywał podpis na wyroku.

— Tak, to wielki kanclerz — odpowiedziano mu.

— I to porządny człowiek, nie? — Pewno! To ten, co kazał chleb tania sprzedawać, a inni tego nie chcieli, a teraz przybywa, aby zawieźć do więzienia namiestnika, który postępował nie tak, jak był powinien.

KĄDZY zgodnie bez słowa, że Renzo stał się natychmiast stronnikiem Ferrera. Chciał się koniecznie do niego przedostać, co nie było rzeczą łatwą, jednak przy pomocy swych góralskich potężnych pięści i łokci potrafił dać sobie radę, przepchał się ku przodowi i po chwili znalazł się tuż obok powozu.

Powóz zdolał już wjechać w środek tłumy i z powodu jednej z tych nieuniknionych a częstych przeszkód, na które w podobnych warunkach musi natrafić, właśnie się zatrzymał. Stary Ferrer ukazywał na przemian to w jednym to w drugim oknie oblicze przymilne, roześmiane, pełne oddania, słowem — jaśniejące całym wdziękiem wyrazu, który w zwykłych okolicznościach przybierał wówczas tylko, gdy miał sta-



go nie było, odciągnięto go widząc, że może wpaść pod koła. Wreszcie dzięki dzielnej pomocy swoich sprzymierzeńców, ciągle gestykulując, mówiąc, uśmiechając się i kłaniając na wszystkie strony, wśród nieustannej wrzawy, okrzyków i słabych oznak niezadowolenia i gniewu jeszcze tu i ówdzie wybuchających, lecz tłumionych z miejsca przez lud, Ferrer staje szczęśliwie u kresu podróży.

PRZED pałacem — jak wiemy — oczekiwali nań inni sprzymierzeńcy, którzy tymczasem pracowali

deja piekarni, ceny jak w latach największego urodzaju. Na placach, na rogach ulic, w karczmach, wszędzie tłum ludzi, wszędzie gwar i jawna radość. Jednak wśród zabawy, przechwałek i otuchy było (jakże by być nie miało?) trochę niepokoju, jakiegoś przeczucia, że długo tak trwać nie może. Źródła dziejowe z tego okresu są tak niedokładne, że nie znajdujemy w nich nawet wzmianki o tym, kiedy mianowicie został cofnięty rozkaz tej przymusowej taniości chleba.



Wanda WEJTKO

## KRAJOBRAZ PIERWSZEJ MIŁOŚCI

„PIERWSZA MIŁOŚĆ<sup>(1)</sup>” nie jest poetyckim debiutem Jana Marii Gisgesa. Pisarz ten ma już za sobą dorobek literacki w postaci tomiku wierszy, poematu oraz opracowanej przez siebie „Antologii współczesnej liryki świętokrzyskiej<sup>(2)</sup>”, w której znajdujemy również kilka jego utworów.

Debiutancki tomik Gisgesa, „Więzień i chłop<sup>(3)</sup>”, zawiera przeważnie utwory „okupacyjne”, pisane w kieleckim więzieniu, następnie w Oświęcimiu. Już sam czas i miejsce powstania tych wierszy do pewnego stopnia określa

„Pruszą białe kwiaty, spadają wspomnienia”...  
„Siostra, biały puchar cierpienia”...

(„Wigilia“)

(z wiersza, którego treścią jest wykradzenie chorego kolegi z więziennego szpitala):

Druga część tomiku, to wiersze pisane po powrocie z obozu. Idylliczny

Spijam kolor niebieski cieknący z twego dzbanu,  
Zródłaną wodę płynącą, słowa, wierszowy almanach.  
Szumi strużka ciekliwa, srebrne krople wilgoci,  
Z dzbanu tego — dziewczyno — wiersz się nowy wykocill!

Spotykamy również takie monstrum jak „Ścieżyna“:

Smigną tydki  
Zielona spódnica  
biedrom dodaje uroku,

W „Antologii” natomiast czytamy:  
O! Żebraku o opuchłych nogach...

obraz wsi kieleckiej, spokojnej, szczęśliwej po Wyzwoleniu widzimy w utworze „Sad przyjaciela”. Miniaturowe „Zródło” mówi, jak tworzy poeta:

piętom  
oczu zdejmują przebiegłe drog,  
jak pończochy.

Dalszy ciąg wiersza w tym samym stylu, to przecież gorzej niż grafomania!

(„Cieniom człowieczym“)

(tu przypomina się Wirszy — „w grach rzućmy kości“!). Nagromadzenie jednakowych samogłosek sprawia czytelnikowi niemal fizyczną przy-

Otwórz odrzwia piękna i wejdź w światłynie cieni,  
gdy zachód kwitnie makami nad użnioną wsią —  
Już cisza pachnie jak mięta i dzień zda się wsiątk  
w ziemię wraz z trudem i troską.

króć. Znajdujemy także wiersz dobry, „Leśne drzewa” — to prawdziwa poezja“:

## WŚRÓD KSIĄŻEK

## „JUBIABA“\*)

JUBIABA to wielki czarnoksiężnik murzyński, który bohaterem powieści nie jest. Jest nim młody Murzyn Antonio Balduino. Przypatrujemy mu się najpierw, gdy jako młody chłopak jest przywódcą wzorowo zorganizowanej bandy ulicznych. Z czasem Baldo wyrasta na beztróskiego chłopca, układającego sentymentalne samby i zwyciężającego w boksie. Marzenia o sławie wyróżniają go spośród grona rówieśników. O bohaterach Murzynów, o ludziach nieugiętych, którzy wolą zginąć, niż żyć w niewoli, mówią pieśni znane wśród Murzynów jako piosenki ABC, sprzedawane za kilka milrejsów po jarmarkach, śpiewane i czytane przez tych, którzy gnębieni i poniewierani w życiu wolność odnajdują tylko w pieśni.

Być jednym z bohaterów pieśni ABC to największe marzenie Balduina. Ale Baldo nie bardzo wie, co trzeba zrobić, by stać się Murzyńcem-bohaterem. Coś wielkiego i trudnego, może jakąś wielką awanturę, w której wykaze się niezmierną siłą fizyczną. Tymczasem sława przychodzi do młodego Murzyna wtedy, gdy się je, nie spodziewa, gdy zajęty ważniejszymi sprawami przestaje o niej myśleć.

Baldo, sławny bokser, wielokrotnie zwycięża, raz upił się i przegrał. Bardzo awanturny niż zrozpaczony rezygnuje z kariery boksera i ucieka z rodzinnej Bani. By zarobić na życie, pracuje w strasznych warunkach na plantacjach tytoniu. Dołączy tamtejszych robotników przypomni sobie, gdy dużo później zostanie jednym z organizatorów strajku powszechnego, o którym śpiewać będą murzyńskie ABC.

W czasie strajku Baldo dokonał więcej niż największy czarnoksiężnik Murzynów Jubiaba, który znał wszystko, wiedział wszystko, umiał odczytać choroby, znał zioła powodujące miłość. Stąd tytuł powieści.

Poznajemy w niej potworne warunki życia Murzynów w Brazylii. Nędza i głód to ich nieodstępni towarzysze. By zarobić na życie, ciotka Balda piecze ciastka i na tacy roznosi na głowie do sklepów. Od żaru spoczywającego na jej głowie dostaje choroby umysłowej i umiera w zakładzie. Gdzie indziej Murzynki pracują w fabrykach tytoniu, który niszczy ich płuca i odurza je tak, że z fabryki wychodzą na pół przytomne.

Pogarda białych dla Murzynów to tylko pogarda bogatych w stosunku do biednych. Biednych bez względu na kolor skóry łączy ze sobą wspólna nie-

dola. Nie ma różnicy społecznej między białą kobietą, którą porzucił kochanek, by nie widzieć, jak ich dziecko będzie umierało z głodu, a uciekającym z plantacji tytoniu Antoniem Balduino. Smukła Lindinalva, córka bogatego comendadora, gardzi zakochanym w niej Baldem, dopóki sama nie stoczy się na dno nędzy.

Smutne i ciężkie jest życie Murzyna brazylijskiego, a mimo to z kart powieści wychyla się ku nam nie ponura, ale roześmiana i to roześmiana od ucha do ucha twarz Murzyna Antonia Balduina, który często głodny, ale za to niczym nieskrepowany, z piosenką na ustach przemierza ulice miast brazylijskich.

Ale ta beztróskość i pogoda to tylko jedna strona psychiki Balda. Antonio entuzjastycznie cieszy się życiem w jego najróżnorodniejszych przejawach, ale na widok ołaczających go tragedii ludzkich myśli o samobójstwie nie jest mu obca. Tego wesołego chłopca, doskonałego kompana i zawodnika, nie martwi brak pieniędzy, nie wzrusza głód, ale głęboko boli pogarda innych ludzi, a jeszcze bardziej nierozwiązalność zagadnień życia, z którymi się spotyka. I dopiero w czasie strajku wszystko dla Balduina staje się jasne i zrozumiałe. Dopiero strajk ukazał mu cel w życiu, rozjaśnił wszystkie zagadnienia i przywrócił godność człowieka.

Baldo na religijny zebrań u ojca Jubiaby mówi: „Murzyn strajkuje. Murzyn nie jest niewolnikiem... Murzyn robi strajk, zatrzymuje dźwigi i tramwaje... Czarni i ci biali, którzy nie mają pieniędzy, są niewolnikami, ale wszystko trzymają w swych rękach i gdy tylko zechcą, wywołają się“.

Pozytywnie kończy się powieść postępowego pisarza brazylijskiego Jorge Amado. Robotnicy zwyciężają w strajku, Antonio Balduino odnajduje w życiu właściwą drogę.

Ale „Jubiaba” to również powieść miłości. Dobroć, głęboka chrześcijańska dobroć przenika prawie wszystkich wydziedziczonych występujących w powieści J. Amado. Jubiaba, Balduino, jego przyjaciel Gruby, Murzyni pracujący na plantacjach kakao, cyrkowcy itd. to wszystko ludzie, którzy więcej myślą o innych niż o sobie. Czarnoksiężnik Jubiaba tłumaczy Murzynom, że każdy z nich posiada oko złości i oko litości, trzeba strzec się, by nie wygasło oko litości. I dlatego zwycięstwo strajkujących to nie tylko zwycięstwo robotników nad kapitalistami, ale i zwycięstwo dobra nad złem.

B. M.

OMAWIAJĄC chronologicznie twórczość Gisgesa, zajmujemy się pozycją następną. „Opowieściami krajobrazu<sup>(4)</sup>” — poematem partyzanckim. Dwa lata dzielące pierwszy i drugi tomik dokonały wiele daleko idących zmian zarówno w pisarskim warsztacie autora jak i w jego stosunku do opisywanych zjawisk.

Poemat składa się z 25 rozdzia-

Z żółtej ścieżki las modrzewiowy  
pochwylił chrząst smutnego kota.  
Nad kablakiem gnadego opuszczonej głowy  
zapach igliwia kładł się jak spojrzenie dziewczyny

z puszczy dla kochanka z miasta. Psy halaśliwe  
małej chaty, co stała na polanie jak pachole  
lub sarna wylekła, powitały skrzyż kół, a krzywe  
drzwi od starości przyjęły płaczem zgrzytliwym  
wieść, którą na papierze szybko kreślił.

itd.

Dziwaczny szyk słów spowodować tu może nieporozumienia. Nie wiadomo, czy drzwi były krzywe od starości, czy też od starości przyjęły wieść? Nieprzyjemny dla ucha jest sposób stawiania słowa określającego na drugim miejscu np. „psy halaśliwe małej chaty” „człoko zamysłone nieba” itp. Je-

Księżyc wiewiórczym mignął ogonem wśród sosen,  
noc rozjaśnił na chwilę i jakby pod strachem  
trasku wozów i szeplów lasu umknął w chimur wrzozy

postrzępione. Puchacz najdalszym hukaniem  
wylawiał lęk z roztopionej rudy światła —  
gdy przestał — plama zgasta.

(„Opowieści krajobrazu” r. 6)

Dla Gisgesa strofa nie jest jeszcze taktem a widzimy, że poeta (i to mu się chwali) nie znosi wędzidła.

Metafora Gisgesa, stanowiąca w jego poezji element bardzo ważny, jest int. esujaca i oryginalna, niemniej jednak przerost jej utrudnia nie-

Było cicho, odświętnie jak w południe niedzielne

(„Opowieści krajobrazu” r. 4)

WRESZCIE „Pierwsza miłość”. Ten tomik przynosi wiersze ogromnie różniące się od poprzednie, twórczości poety. Tematyka w przeważającej części pozostaje ta sama: życie wsi kieleckiej — zmienia się stosunek autora do tematu. Zanika tu zupełnie idylliczny spokój, zjawiają się zagadnienia społeczne, kwestia walki klasowej, kolektywizacja wsi (np. w poemacie „Antek”) likwidacja analfabetyzmu („Analfabeta”), upowszechnienie oświaty, udostępnienie dóbr kulturalnych najszerszym masom („Gminna biblioteka”, „Na wystawie” i in.). Zjawia się również w utworach Gisgesa robotnik.

więc stali szeregi jaśni niby gryka —  
zrodzeni z szumu liści i ostrza kozika  
świętkowie nieudolni — mieszne duszki domu.  
Przez zim długie wieczory jak dziś po robocie,  
kiedy lampa jak uśmiech rozświetliła mroki,  
na drewnach surowych pozostawiał smugi —  
stary rzeźbiarz wioskowy, który wierzył cncie —  
w ręce płomień trzymając — mistrz chłopkiej epoki  
w jednej rzeźbie umierał, aby powstać w drugiej.

(„Odwiedziny“)

Gisges interesuje się życiem wsi również od strony jej najaktualniejszych zagadnień. Zajmujemy się teraz dwoma największymi utworami: „Miłością ścieżek nieutartych” i „Antkiem”. Próba realizmu w obu wierszach niestety zawiodła.

„Miłość ścieżek nieutartych” to utwór od początku do końca nieudany. Ukoronowaniem licznych usterek fundamentalnych jest tu przemówienie chłopca agitatora, który z patosem opowiada o mającej powstać spółdzielni zachwyca się n a w a o k r e t u (sic), którą ma być Dom Kultury stojący na wzgórzu.

„Antek”, mimo licznych niedociągnięć, stoi na wyższym poziomie. Udały jest wstęp, opis przyrody stylizowany trochę na „Panu Tadeuszu”, odzwierciedlają tu również echa „Opowieści krajobrazu“.

Na uwagę zasługuje sama postać Antka, jego wewnętrzny konflikt psychologiczny między miłością do matki i obawą o jej los, a sprawami ogólnymi, poczuciem obowiązku wzięcia udziału w założeniu spółdzielni produkcyjnej.

Ludziom domków podmiejskich i niskich kamienic,  
zanim wizja jak ranek z mroku powstała,  
z głosu i słów narodził się blask wyczekujących źrenic —  
prawda.

Czym jest ona? — Zwykłym ręki podaniem.

(Wieczór autorski)

łów, a każdy niemal pisany jest innym metrum, stanowi odrębną całość. Gisges pokazuje tu wszystkie swoje formalne umiejętności, zmienia rytm wiersza, w sposobie obrazowania niepodzielnie króluje metafora. Poziom poszczególnych części jest bardzo nierówny, są momenty dobre, są również nader słabe. Oto jaki „sonet” czytamy na wstępie poematu:

KALI  
SYLWETKI  
Zdarzenia

Artur Grottger

CYKL kartonów grottgerowskich, te ołówkiem, kredką i węglem uśmieciernione konstatacje faktów dziejowych, które obejmuje „Warszawa” I i II „Polonia”, „Litwania” i „Wojna” są epopejami, jak Polonezy Chopina, „Rzeczywistość czcza i naga, smutkiem i rozpaczą zarządzająca” — można by odnieść do nich ważne słowa artysty. Chociaż więc powieć wytrawny znawca sztuki i razem historyk wyraził się magistralnie, że nie stanowią eposu narodowego, ale odtwarzają rzeczywistość epicką z kręgu życia rodziny polskiej lub niektóre wydarzenia z pogranicza owego kręgu, nam się nie wydaje, ażeby Grottger nie posiadał jeszcze dalej, niżli nawet Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”. Jego „epos nasz” ukazała bowiem w łsach jednostek i rodzin nie tylko tragizm losów całego narodu, rzuconego w otchłań niewoli przez nienawiść i przemoc.

„Dolina łez“!

I zacytujemy znowu własne słowa Grottgera o jego kartonach: są „akordem duszy Polaka”. Tak. Lecz akord ten nabrzmiał obok cierpienia buntem i ma w sobie potęgę jakiejś ogólnoludzkiej „Etiudy rewolucyjnej“.

Od Tarnowskiego przez Bolesław Antoniewicza aż do Maryli Wolskiej wygodnie przywykło się widzieć w Grottgerze genialnego rysownika, którego wichura emocji patriotycznej zagnała do zaścianka martyrologii.

Nic fałszywego.

Powiedzieliśmy wszak wyżej, że epos romantyka i po trosze nieromantyka Grottgera wyraża nie tylko tragizm losów narodu. O interwencję niebios wola z dzieła artysty i patriotki tragizm losów całej ludzkości, twarzą epos męki, zrodzonej ze zbrodni, takomstwa politycznego i zaboru. A jeno skądś, z dna niemieckiej grozy, słycał w jego dziele szum tamtego liryzmu, który się nazywał melancholią kosmiczną i wypełniał ostatnie chwile Ellenai oraz złote strofy „Króla-Ducha“.

Heż „godzin myśli” upłynęło Grottgerowi na przygotowaniu dzieła, na przeżyciu swych nieublaganych wizyj, niby „Inferna“!

Pamiętacie? „Pojednanie” z cyklu „Wojna“.

Szaro-śnieżna równina, z tyłu parę drzew. Na pierwszym planie pologie zbocze małego pagórka. Na nim dwa ciała — „soldat” i polski powstaniec. Obie prawe ręce poległych wyciągnięte do siebie wzajem, jakby do uścisku.

Kali

KUPIMY NATYCHMIAST  
KOMPLET DZIEŁ  
OJCÓW KOŚCIGAŁA

Wyd. MIGNÉ' A  
Seminarium Duchowne  
Ołtarzew p-ta Ożarów  
Warszawski

BRON NA SPRZEDAŻ

Grachama G eenea

w przekładzie Andren Tonchu-Ri  
Cena zł 22.—

Wysyła Biuro Sprzedaży Instytutu  
„Pax” Warszawa, Mokotowska 43  
po wpłaceniu na konto PKO 1-8515

\*) Jorge Amado, Jubiaba, Spółdzielnia Wydawnicza-Oświatowa „Czytelnik”, 1950 r., str. 352.

1) Gisges Jan Maria — Pierwsza miłość Warszawa 1951 Czytelnik.  
2) Antologia Współczesnej Liryki Świętokrzyskiej opr. J. M. Gisges, Kielce 1947 Kielecki Klub Literacki.

3) Gisges Jan Maria — Więzień i chłop, Kielce 1946, Kielecki Klub Literacki.  
4) Gisges Jan Maria — Opowieści krajobrazu — poemat partyzancki, Kielce 1948, Kielecki Klub Literacki.



Leszek PROROK

# Zespół literacki a warsztat pisarza

I.

ZESPOŁY literackie, częste i głośne w życiu kulturalnym, są zjawiskiem, które w tym samym stopniu pociągają uwagę kronikarzy i badaczy literatury, jak zainteresowanie socjologów. Fakty wiązania się twórców w grupy z różnych powodów, oddziaływanie środowisk literackich, podobnie jak uleganie wpływom społecznym ze strony twórców, a wreszcie zbiorowe kształtowanie własnej twórczości, zyskały poczesne miejsce w literaturze naukowej<sup>1)</sup>. Złożona mechanika twórczości człowieka stanowi ciągle teren interesujących odkryć w dziedzinie wiedzy o prawidłach życia zbiorowego. Interpretacja twórczości artystycznej sięga głęboko do korzeni wiedzy o społeczeństwie. Gdy w kuzni twórczości obok jednostkowego podmiotu pojawia się grupa, zespół literacki, pogłębiają się socjologiczne elementy interpretacji. Problematyka nowego zespołu urasta wówczas do miary kategorii metodologicznej. Ułatwia przewidywanie indywidualistyczne stanowisko krytyczne, które wyrwa twórcę wraz z dziełem z pogmatwanego spłotu społecznego. Z drugiej strony uwydatnia jednostkę na tle społecznym przez objęcie analizą zespołu, grupy pośredniej, z reguły niewielkiej, łatwiejszej do zgrzebnia, nadto bezpośrednio związanej z twórcą.

Od przyczyn ściśle ekonomicznych, które wiążą twórców w zrzeszenia zawodowe, gromadzą ich wokół wydawców, dają początek artystycznym komunom czy „cyganerii”, poprzez więź ideową awangardy literackiej czy mniej lub więcej zwarte pisarskie środowiska światopoglądowe, pęd do skupiania się w zespoły wiedzy aż do pozlotki artystycznego snobizmu, jakim życie towarzyskie kraszą niektóre słynne salony.

Nieraz grupuje twórców kult wybitnej jednostki, wspólnota, wynikająca ze specjalizacji literackiej czy zainteresowań tematycznych, aż do najściślejszego, kilkoosobowego zespolenia w spółkę autorską.

Trudno w krótkim szkicu wyliczyć wszystkie znane rodzaje zespołów literackich, w zależności od przyczyn powstania i potrzeb ich członków. Nie jest to zresztą dla dalszego toku tych uwag potrzebne. Wystarczy stwierdzenie, że narodziny, rola, a z czasem również pokłosie każdego zespołu literackiego to zjawisko ze wszech miar ciekawe dla badacza literatury, podobnie jak dla badacza społeczeństwa.

**WPROWADZONE** przed rokiem z tą w wszystkich oddziałach Związku Literatów Polskich sekcje twórcze stanowią pewnego rodzaju nowum na terenie naszego życia kulturalnego. Oczywiście nie jest nową formą zespołu literackiego. W dziejach piśmiennictwa polskiego nie brak przykładów wszystkich niemal typów grup, jakie wydzielił socjologowie życia literackiego. Były to jednak najczęściej zespoły nieliczne, przypadkowe, efemeryczne, o wąskim i pośrednim zakresie oddziaływania, mimo ciekawej i nierzadko obfitej spuścizny. W odróżnieniu od nich obecna organizacja życia literackiego nosi charakter powszechny i zaczyna nabierać cech instytucji trwałej, nieodłącznego stadium rozwojowego pisarza zwłaszcza młodego pisarza-adepta. Już to samo świadczy o szerokiego zasięgu zjawiska, o jego wyznaczonej funkcji i o przyszłym, niewątpliwie ważkim wpływie nowej formy pracy literackiej na rozwój i znamiona twórczości. Instytucja stałych sekcji twórczych jest prostą konsekwencją wprowadzenia

idei gospodarki planowej na kapryśny i niesforny teren twórczości literackiej. Innymi słowy oznacza to próbę synchronizacji życia kulturalnego, które wolniej wykształca nowe formy z ustalonym już w zarysach kształtem życia gospodarczego, próbę wyszukania typu grupy literackiej, zgodnej z duchem przeżywanego epoki. Tu zatem leży podstawa różnica w stosunku do wyliczonych powyżej dawnych zespołów literackich. Zrodzone na gruncie wolnej konkurencji, były wyrazicielami inicjatywy jednostkowej, rozproszkowania organizacyjnego i ideologicznego w zakresie działalności kulturalnej.

Dla socjologa, penetrującego życie literackie od strony kuchni, warsztatu pisarskiego, nowa forma pracy i działalności jest zjawiskiem szczególnie pociągającym. Za wcześniej oczywiście na pretendującą do miana opinii naukowej pełną ocenę wartości czy braków ciekawej inowacji. Narazie można i należy gromadzić materiały spostrzeżeń dla wykształcenia ich w przyszłości. Wartość dzisiejszych przyczynków dla badacza i syntetyka podnosi fakt, że wobec określenia jedynie ogólnych założeń nowych form typ pracy zespołów, które powstały na terenie całego kraju, nie jest jednolity.

Półtoraroczna bez mała działalność poznańskiej sekcji prozy postawiła szereg zagadnień żywych i istotnych. Obfity materiał dwudziestu kilku posiedzeń pozwala już na wyciągnięcie pewnych wniosków. Przedstawienie niektórych stron dorobku zespołu poznańskiego i podzielenie się z pewnymi wątpliwościami dostarczy, być może, wspomnianym na wstępie obserwatorom życia literackiego surowego tworzywa, członkom innych zespołów terenowych da materiał do porównań i krytyki. Jest oczywiście jednak, że poniższe uwagi nie są ostateczne i stanowią raczej zachętę do uzupełnienia czy dyskusji niż próbę sztywnego osądu.

II.

**USTALENIE** zakresu zainteresowań i szczegółowy program działania, opracowany wspólnie na konstytucyjnym posiedzeniu zespołu uwydatnił potrzebę skierowania pracy dwoma zasadniczymi nurtami. Pierwszy to wspólne przepracowanie i pogłębienie współczesnej problematyki literackiej oraz zapoznanie się z tendencjami rozwojowymi w sztuce. Za drugi nurt należy uznać tzw. konferencje warsztatowe, poświęcone zespołowej analizie i ocenie bieżącej pracy autorskiej, utworów niejednokrotnie jeszcze nieukończonych, półfabrykatów. Nurt ten obejmuje prace z różnych dziedzin prozy, z uwagi na to, iż w skład sekcji, poza przedstawicielami prozy artystycznej w ścisłym znaczeniu tego słowa, wchodzi również krytycy, tłumacze oraz pisarze dla dzieci.

Dzięki konferencjom roboczym, praktykowanym do tej pory w środowiskach twórczych, koleżeńską krytyką, poradą i oceną w czasie tworzenia utworu nabrała charakteru zespołowego, instytucjonalnego. Wypada kilka słów jej poświęcić.

Analiza wszystkich elementów pracy surowej, konfrontacja założeń i osiągnięć z różnymi konstytucjami pisarskimi, różnymi ujeciami obserwacyjnymi i ideologicznymi, na koniec z różnymi temperamentami pierwszych odbiorców dzieła daje nie tylko możliwość naprawienia usterek w czasie pracy, lecz uświadamia luki, przerosty i co najważniejsze pozwala odczytać, czy praca toczy się wytkniętym w wstępie, zaplanowanym torem. Całkowicie praktyczny charakter takiej konferencji przesądza z góry o tym, że nieproporcjonalnie więcej uwagi poświęca się wytkniętym niedomaganiom pracy niż jej

walorom. Autora siedzącego na cenzurowanym nie powinna zrażać ta normalna i pożądana kolej rzeczy. Dopóki pisarz pisze, wykazanie błędów jest dlań najważniejsze. Nierównie więcej trzeba mówić o tym, co napisał źle, niż o tym, co się udało. Podobnie postępuje inspekcja nadzoru budowlanego, gdy kontrolując stan budowy gmachu, zwraca uwagę przede wszystkim na niedociągnięcia. Różnica leży w tym tylko, że nadzór jest przymusowy, zaś pisarz odsłania swój warsztat, zależnie od chęci i potrzeby. Pozbawionego tego nastawienia może szokować, gdy mu koleżeński zespół zmywa głowę, zapominając w ferworze o słowach zachęty. Jednak wyrażona na jednym z posiedzeń obawa czy ta praktyka nie odstraszy młodego, niepewnego pisarza, nie wydaje się słuszną. Inspekcja budowlana męszkuje po zakamarkach budowy w słusznym poczuciu odpowiedzialności wobec przyszłych użytkowników gmachu, których ma chronić przed niewytrzymałym dźwigarem czy stropem. Zespół koleżeński nieucie literacki półfabrykat w poczuciu odpowiedzialności wobec przyszłych czytelników i z chęci wydobycia z autora wszystkich jego możliwości twórczych. Konwenanse zostały na wstępie pracy wyniesione przed nawias i poddawanie się im czy uraza za szczerość świadczyłoby o tym tylko, że nie wszyscy w równym stopniu dorobili do pracy zespołowej.

Analiza warsztatu na sekcji twórczej jest przede wszystkim krytyką twórcy. Zupełnie inne znaczenie ma późniejsza ocena dzieła ukończonego, wydanego, docierającego do czytelnika — recenzja czy pogłębiony esej krytyczny. Jest to już krytyka dzieła, które rozpoczyna wieść być niejako samodzielną, oderwaną od osoby pisarza.

**KRYTYKA** dzieła winna być w pierwszym rzędzie uświadamianiem wartości, tak jak krytyka twórcy, budującego dzieło spełnia przede wszystkim swą rolę wykrywając braki. Nie znaczy to bynajmniej, by jedna miała milczeniem pomijać usterek, a druga — wartości. Powyższe kontrastowe rozgraniczenie ma na celu wyłącznie zwrócenie uwagi na odmienną funkcję społeczną obu form krytyki i odmienną ich rolę dla warsztatu pisarskiego. Zresztą nie tylko ta różnica dzieli krytykę twórcy od krytyki dzieła. Krytyka twórcy sprowadza się w przeważającej mierze do analizy. W toku pracy uwagi analityczne mają znaczenie zasadnicze i twórcze. Uwagi ogólniejszej natury grają rolę w planowaniu dzieła i w opracowaniu jego konstrukcji. Przy montażu poszczególnych prześł i wiązań muszą jednak ustąpić — podobnie jak w budownictwie — analityce zagadnień wykonawczych. Autora kształci wszechstronnie zwracanie uwagi na szczegóły konkretne — na błędny psychologiczny rys sylwetki, na nieprawdopodobieństwo sytuacji, na usterek w znajomości realiów czy nawet na użycie niewłaściwego określenia.

Późniejsza krytyka, działająca na forum otwartym, ma w pierwszym rzędzie zadania syntetyczne, o czym niejedyn krytyk zapomina ze szkoda dla twórcy i odbiorcy dzieła artystycznego. Czytelnikowi, zwłaszcza niewyrobionemu, największą trudność sprawia na ogół zrozumienie dzieła jako całości, syntezy, krytyk może i powinien uwypuklić, bowiem całość narasta z części, nieraz — jeśli już pozwalam sobie stałe na porównania z zakresu budownictwa — z części „prefabrykowanych” w pobocznych czy wcześniejszych próbach literackich. Przykładem tego czyste dzisiaj zwłaszcza zjawisko budowania gmachu fikcji powieściowej z takich właśnie elementów, pre-

fabrykowanych wcześniej w reportażach z tego samego kręgu tematycznego. Inna zatem w zadaniach i w założeniach jest dialektyka krytyki warsztatowej w takich zespołach jak sekcje twórcze ZLP — inna też dialektyka krytyki oficjalnej na łamach periodyków literackich.

Nic dziwnego, że wobec tak ważnej roli zagadnień krytycznych w pracy sekcji twórczych, teoretyczne studia zespołów sięgnęły w pierwszym rzędzie również do dorobku krytyki. Częste polemiki na łamach prasy literackiej oraz dyskusje publiczne, poświęcone krytyce, wykazały, że nieporozumienia, mylne interpretacje szeregu utworów, niektóre braki u twórców, są często pochodną takich samych nieporozumień w świecie krytyki.

III.

**ROLA** zespołu literackiego w pomocy pisarzowi dojrzałemu i w opiece nad początkującym adeptem może być w różnych dziedzinach prawdziwie twórczą. Jej czynnik kształtujący nie zawsze jednak działa z równą siłą. Należy zatem zastanawiać się, jakie tereny życia literackiego umożliwiają najbardziej pełne wyzyskanie tych wszystkich walorów i możliwości, jakie niesie z sobą praca w twórczym zespole.

Objęcie bogactwa dzisiejszego życia — a pisarz przecież z natury swego powołania pragnie ujmować całość — przerasta możliwości jednostki. Na zawodzie stają choćby same tylko warunki techniczne, szczególnie wyraziste na prowincji. Niewielka liczebność większości prowincjonalnych środowisk literackich, mniejsza dynamika, zajęcia zarobkowe wielu twórców, wykraczające nieraz poza sektor kultury, utrudniają literatowi zetknięcie się z mnogością zagadnień, które przynosi dzień każdy, nie dopuszczają do pogłębienia żywotnej problematyki, hamują zatem rozwój osobowości twórcy, zubożają jego bagaż ideologiczny, odcinają go od narastającego dorobku krytyki i metodyki literackiej, a nawet od dziedzin, którymi interesuje się specjalnie z uwagi na swe zamiary twórcze. Konieczność trzymania ręki na pulsie i nieustannego doskonalenia zawodowego jest dla pracowni literackiej nie mniej istotna niż dla każdego innego zawodu.

Trudnościom tym w znacznej mierze zaradzić może praca zespołu literackiego. Już prosty podział pracy i zainteresowań między poszczególnych członków zespołu, z równoczesnym obowiązkiem dzielenia się swym dorobkiem z resztą grupy, zmniejsza poważnie nakreślone powyżej kłopoty. Łatwiejszy dla zespołu niż dla jednostki kontakt z innymi środowiskami, możliwość wymiany kulturalnej, zapelniają dalsze luki. Konkretnie biorąc zespół, dzięki podziałowi pracy i wymianie dorobku, posiada możliwości sygnalizacji poszczególnemu twórcy istnienia pewnych zagadnień, rozwiązań, czy choćby tylko pojawienia się poszczególnych ważkich artykułów lub wypowiedzi. Następnie dostarcza stale świeżego, pracowanego już w pewnej mierze, materiału myślowego. Staje się wobec producenta literatury niejako podstawową centralą zaopatrzenia, nie wykluczając oczywiście innych, ani indywidualnej pracy. Nadto w ramach samego zespołu, na skutek styczności różnych sylwetek twórczych, różnych bagażów myślowych i odmiennej skali zainteresowań zachodzi możliwość pewnego, powolnego co prawda, lecz integralnego wyrównania poziomu, analogicznie do zjawisk fizycznych. W tym ujęciu zespół literacki przypomina, znane z hydrauliki, naczy-

nia połączone, gdzie, mimo różnej grubości i kształtu poszczególnych naczyń, ciecz dąży do uzyskania wspólnego poziomu. Porównanie to w analizie roli zespołu jest, podobnie jak poprzednie porównanie z dziedziny budownictwa, daleko posuniętym, świadomym uproszczeniem, obrazem stanu teoretycznego, nieosiągalnego całkowicie w praktyce. Oczywiście nie może tu być mowy o wyrównaniu osobistych możliwości twórczych — zdolności. Te należą do zjawisk zbyt kapryśnych i nieokreślonych, by jakkolwiek organizacja twórczości mogła wpłynąć w szerszym zakresie na ich rozwój i ukształtowanie. Co najwyżej pozwala ona wyszukać talenty utajone i ułatwia im wydobycie pierwszego głosu. Niemniej w zakresie wyrównania poziomu wiadomości, poznania pomocniczych dyscyplin literackich, słowem w zakresie wykształcenia narzędzi i sprawdzianów tendencja wewnętrznego wyrównywania poziomu w zespole bezsprzecznie istnieje.

Ta rola zespołu dla narybku literackiego jest działalnością w najwyższym stopniu wychowawczą. Przypisywanie krystalizacji charakteru literackiego i możliwości twórczych, zwróci uwagę na słabe strony, wykryje luki. To wszystko jednak, co powiedziano o kształtującej roli zespołu literackiego, odnosi się w zasadzie do twórcy, a nie do jego dzieła. Zespół wzbogaca twórcę i ułatwia mu pracę, pisze jednak autor sam i tylko sam. Abstrahując tu od zagadnienia spółek autorskich. Na dzieło zatem zespół literacki nie oddziałuje bezpośrednio, lecz tylko w sposób wtórny, poprzez kształtowanie osoby autora. Pogłębia zasadniczo pisarza, nie zaś sam wytwór jego pracy. W konsekwencji prowadzi to do jednego skutku, niemniej trzeba zdać sobie sprawę z pośredniości drogi od zespołu do dzieła literackiego, by nie przesadzić w ocenie zasięgu i możliwości oddziaływania grupy literackiej. Również i z tego trzeba zdać sobie sprawę, choć to zakrawa potroze na wyważanie drzwi otwartych, że zespół literacki nie jest szkołą pisania. Najbardziej nawet twórczy zespół pisarza nie może nauczyć. Pracownia pisarska musi już istnieć, by zespół mógł spełnić rolę czynnika ułatwiającego, uszlachetniającego, produkcję.

**NA** zakończenie pozostaje do postawienia jeszcze jedno pytanie. Czy przedstawiony powyżej zespół literacki może odegrać rolę czynnika aktywizującego twórczość, czy może zwiększyć wydajność warsztatu? Wydaje się, że w obecnych warunkach literackich wpływają na to raczej inne czynniki — konkursy, stypendia, akcja terenowa ZLP, zachęty wydawnicze, a zatem czynniki spoza struktury warsztatu pisarza, w obrębie której zespół występuje jako poszerzona i wyższa forma organizacji pracy.

Częste posługiwanie się porównaniami ze świata materii nieożywej może wywołać zarzut zbyt mechanicznego traktowania procesu narodzin zamierzenia i realizacji aktu twórczego. Każde porównanie jest jednak porównaniem tylko do pewnej granicy i ma na celu wydobycie większych plastyki argumentów, a nie mechaniczne przenoszenie pojęć i zjawisk między dziedzinami różniącymi się jakościowo. Zagadnień twórczości nie da się bez reszty sprowadzić do zagadnień wytwórczości. Niemniej pewna problematyka jest dla obu dziedzin wspólna. Ona właśnie występuje na gruncie działalności Sekcji Twórczych, ona też stanowiła przedmiot powyższych rozważań.

Leszek Prorok

1) Korzystam z okazji, by na tym miejscu przypomnieć wnklive studium Stefana Kawyna „Zagadnienie grupy literackiej” K.U.L. 1946 r.



# Na marginesie „Niobe”

## Posiedzenia sekcji prozy ZLP w Warszawie

O d z y b t już dawna mówiło się wyłącznie „kularowo” o twórczości Konstantego Ildenfonsa Gałczyńskiego. To kompromitujące wprost milczenie na forum publicznym przerwało — należy mieć nadzieję — zebranie warszawskiej Sekcji Poezji przy ZLP, która w ten sposób zamknęła 19 grudnia 1951 r. swój rok pracy. Referat p. t. „O poezji Gałczyńskiego” wygłosił znany — ostatnio, niestety, rzadko odzywający się krytyk — Hieronim Michalski.

Punktem wyjścia referatu jest „Niobe”. Zasadnicze pytanie, na które referent stara się sobie odpowiedzieć, brzmi: Jaki moment w ideowo-artystycznym rozwoju Gałczyńskiego reprezentuje niedawno wydany poemat?

To założenie prowadzi do konieczności retrospektywnego spojrzenia na całą drogę twórczą autora „Niobe”. — „Romantyczna drwina i fantastyka, igraszki mistyfikatora i szarlatana, kokieteria arabski i grymas groteski — mówił H. Michalski o niezwykłości zjawiska poetyckiego, jakim był Gałczyński przed wojną — są to cechy, które musiały w twórczości Gałczyńskiego uderzać przede wszystkim”. Sam jednak referent uważa dzisiaj, że sprawa genre'u tej poezji była sprawą specyficzną postawy, że w przedwojennej twórczości Gałczyńskiego zarysowały się dwa odrębne nurty: bliski realizmowi i odchodzący od realizmu. Przyznaje zresztą, iż pierwszy z nich, dający się odczytać w liryce nie wykraczającej poza zakres postawy kontemplacyjno-sensualistycznej — był bardzo wąty, słabo zarysowany i prawie całkowicie przytłoczony przez to, co powodowało odchodzenie od realizmu. Nurt drugi, umownie tak właśnie nazwany, przez stylizację, jako wyraz estetyzowania; przez skłonność do romantycznych akcesoriów baśniowych; przez udziwnianie rzeczywistości elementami fantastyki; wreszcie — przez mitologizowanie rzeczywistości bytowania drobniomieszczańskiego prowadzi do przejawów poezji eskapistycznej. Rodowód postawy Gałczyńskiego dostrzega referent w negacji wobec rzeczywistości, ale negacji ograniczonej, bo brakowało jej określe-

go moralnego i społecznego kierunku, by móc tę rzeczywistość zdemaskować, negacji poprzestającej na wynajdywaniu sposobów ucieczki od rzeczywistości. „Drwina i mistyfikacja — formułuje referent — ograniczała zakres jego treści realistycznych, ale jednocześnie ratowała oparty o wąską podstawę rozczarowanego indywidualizmu bunt Gałczyńskiego przed popadnięciem w naznaczoną katastrofizm i eschatologią bezwzględności i tragiczności, które stały się udziałem wielu jego rówieśników” — Następuje kilka uwag o artystycznej stronie przedwojennej poezji Gałczyńskiego; wśród nich — oczywiście, ale najcelniej chyba trafiająca w sedno zagadnienia, że wiersze autora „Balu u Salomona” — „był to istotny błąd a bracia kontynuacji najróżnorodniejszych poetyk postsymbolistycznych” lecz „wyjątkowa... dyspozycja talentu potrafiła przetopić owe niejednorodne elementy, eksponowane świadomie z nonszalicją i ostentacją, w zestrojoną całość, która stała się istotnie oryginalnym i sugestywnym wyrazem zarzysowanej postawy poety”. — H. Michalski twierdzi, iż przedwojenna twórczość Gałczyńskiego — to karty, których wprawdzie dalej pisać nie można, ale które w zasadniczej większości zachowały czytelność, choćby tę specyficzną: mianowicie czytelność dokumentu mówiącego o epoce.

Następnie interesuje referenta proces krystalizacji ideologicznej Gałczyńskiego w świetle dwu powojennych tomów: „Zaczarowana dorożka” i „Słubne obrączki”. Proces ten ujawnia przede wszystkim wydatne zacieśnienie nurtu odkształcającego realność treści. Liryka Gałczyńskiego stara się towarzyszyć głównym problemom i przeobrażeniom naszej rzeczywistości, przy czym — rzecz znamienita — możliwość wyjścia poza negację wpływa na zasadnicze rozszerzenie się zakresu humanistycznych treści tej poezji.

Charakterystyczny moment nowego etapu rozwoju Gałczyńskiego stanowi wzrost jego twórczości satyrycznej nacechowanej niesłychaną pasją i drapieżnością („Listy z fiołkiem”, „Zielona gęś”). Satyra ta, wymierzona w pewne cechy inteli-

gencji drobniomieszczańskiej, demaskuje „falszywe i zniekształcone treści atakowanego świata przeżytków dawnej epoki”. Tym należy tłumaczyć niejednokrotnie dobór realiów nie będących elementami realistycznego widzenia świata, „są to bowiem realia — cytując za referatem — ograniczające perspektywę spojrzenia poety do kręgu zjawisk, z którymi walczy drwina, zjawisk świata skazanego na nieuchronną zagładę”.

„Nowe treści, którym oddaje swój głos poeta — twierdzi H. Michalski — nazbyt są nieraz zacieśnione i jak gdyby dostosowane do ograniczonych perspektyw, nie socjalistycznych lecz właśnie parasocjalistycznych, bliskich drobniomieszczańskości”.

Referent przypomina uzasadnioną opinię o cygańskim (od cyganeria) stosunku Gałczyńskiego do własnego talentu, przestrzega zwłaszcza przed zbyt nierzadym automatyzmem uczucia, przed zdawkowym często sentymentalizmem, którym poeta pozwala się niejako ponosić.

I wreszcie „Niobe”. W poemacie uderza przede wszystkim zwięzony zakres treści tematycznych, ograniczających się do kontemplacji piękna zakletego w wyrzeźbionej w marmurze głowie postaci mitologicznej. Motywy kontemplacji przesłoniły prawie zupełnie humanistyczną treść zawartą w biografii Niobe. Referent okazywałby jakiegoś akcentu aktualizującego losy matki, której zabito siedmiu synów i siedem córek — i tu spotyka go zawód. „Wprawdzie atmosfera poematu — mówi H. Michalski — jest pełna feerii i prawdziwych refleksów piękności, ale jest to atmosfera nasycona estetyzowaniem, spotykany u Gałczyńskiego poprzednio, tutaj zagęszczona w stopniu jeszcze większym bodaj, niż w jakimkolwiek przykładzie z twórczości przedwojennej. Dodać do tego trzeba przejawy kontynuacji i dawnych poetyk, przede wszystkim zaś niewytrzebioną tendencję ekspozowania dadaistycznych upojen kombinacjami dźwiękowymi, wspartymi tutaj na dodatku cudzoziemszczyzną”.

Mimo to — referent nie uważa „Niobe” za przejaw regresu w rozwoju poety, gdyż, śledząc chronologicznie twórczość K. I. Gałczyńskiego (ostatnio n. p. cykl „Ezop świeżo malowany”), stwierdzić trzeba, iż proces jego ideowo-artystycznej przemiany nie dobiegł jeszcze końca.

Referat przewidziany był jako zagajenie dyskusji. Niestety, ta ostatnia trochę zawiadła. Być może, zaważyło tu, że na zebraniu nieobecna była większa część wybitnych naszych poetów. — Pierwszy ożywczy głos należał do Ryszarda Matuszewskiego, który polemizował z referentem na temat tego, co nazwano eskapizmem w poezji Gałczyńskiego, a następnie zajął się sprawą powiązania tej poezji z muzyką. Do ciekawszych wypowiedzi należały głosy Artura Sandauera i Grzegorza Lasoty, który za duży błąd uważa milczenie krytyki.

Oprócz tego żywą wymianą poglądów na temat zasadniczych wartości „Niobe” wzbogacił dyskusję dwugłos między Z. Lichniakiem i J. Putramentem.

Zanotować należy wystąpienie Antoniego Słonimskiego, który publicznie wyciągał rękę do autora „Niobe”, swego dawnego przeciwnika ideowego.

Konstanty I. Gałczyński kilkoma zaledwie słowami podziękował na zakończenie za wszystkie głosy, zapewniając, że je traktuje jako zbiorową dłoń do siebie wyciągniętą, którą on pragnąłby z całego serca uściśnić.

W DNIU 17 grudnia 1951 r. odbyło się posiedzenie sekcji prozy ZLP. Zagaił Lesław Bartelski witając przybyłych z prowincji krytyków. Porządek dzienny zebrania przedstawiał się następująco: 1) referat Ludwika Fiaszera „O schematyzmie we współczesnej literaturze polskiej”, 2) dyskusja nad referatem. Oto po krótko treść referatu L. Fiaszera:

Schematyzm to wielkie nieporozumienie naszej współczesnej literatury. Niektórzy bowiem sądzą, że schematyzm jest nieuniknionym elementem jej wzrostu i koniecznym etapem jej rozwoju. Twierdzenie to jest głęboko niesłuszne, gdyż schematyzm jest objawem starzenia się i upadku, nie zaś wzrostu. Co jest powodem, że schematyzm rozpanoszył się jednak w literaturze młodej, mającej nieograniczone możliwości rozwoju? — Literatura socjalistyczna startowała za późno. Literatura pozostała w tyle. W swoich poszukiwaniach trafiała na gotowe, skonkretyzowane zagadnienia, nie odkrywała nowych problemów. Usiłowano wyrównać w jakiś sposób dystans dzielący literaturę od życia — organizowano wyjazdy pisarzy w teren. Nie wiele to pomogło, gdyż pisarze, przeważnie inteligency, gotowe już, z góry przyjęte koncepcje, jedynie sprawdzali „w terenie”. Tak rozdzielił się schemat, a krytyka literacka sankcjonowała to zjawisko. Sympaty się dodadnie oceny. Książka dobra, bo porusza nowy temat, opisuje nową gałąź gospodarki narodowej. Krytyka brała pod uwagę tylko to, co w książce ogólne, pomijając to, co indywidualne. Krytyka rozstrzygała przede wszystkim sprawę: czy pisarz jest soc-realistą czy też nie jest? A kiedy większość pisarzy zdecydowanie opowiadała się już po stronie realizmu socjalistycznego niewiele się zmieniło. Zostało pole, po którym hasał w pełnej zbroi kol. Lasota walcząc z duchami poległych Uczelich wreszcie echa sporów i utarczek, atmosfera zrobiła się ciepłutką i senna. A wszystkie książki — podobne do siebie. Trudno odróżnić czy to Braun czy Husarski. Nawet postaci nie sposób zapamiętać. Schematyczny bohater podważa prawdziwość psychologiczną książki.

W związku z tym typowość przeobraża się w ilustracyjność — wszystko jest jasne od początku do końca książki. Zyciorysy bohaterów robią wrażenie danych z ankiety socjologicznej. Psychologia ideologiczna, dobra dla innego kręgu twórczości, dla książek politycznych, zapanowała w powieści.

W dyskusji nad referatem kol. Fiaszera udział wzięli: Marian Brandys, Bobińska, Vogler, Gomulicki, Andrzej Wasilewski, Wojciech Natanson, Andrzej Lam.

E. Pa.

X

W PONIEDZIAŁEK 7 stycznia br. odbyło się w Warszawskim Oddziale Związku Literatów Polskich zebranie sekcji prozy poświęcone powieści Bohdana Czeskiego pt. „Pokolenie”. Szczegółowym omówieniem powieści zagaił dyskusję na jej temat Wojciech Żukrowski. Referent uznał powieść młodego pisarza za jego poważne osiągnięcie i za ważką zdobycz powojennej prozy polskiej. Do głównych walorów „Pokolenia” zaliczył przede wszystkim wielki umiar autora, który w prostym i pozabawionym koturnowego patosu opisie potrafił dać niemal pełną i niemal bezbłędną monografię tej generacji, która wrosła i dojrzewała do życia w najtrudniejszych warunkach hitlerowskiej okupacji. Oprócz tego wskazał referent w powieści głębokie zainteresowanie człowiekiem i umiejętność ukazania wpływu środowiska na konstrukcję losu ludzkiego. Zdaniem referenta problemy te w powieści Czeskiego doczekały się zwycięskiego rozwiązania na płaszczyźnie artystycznej.

Jednak Żukrowski — jak sam zaznaczył — nie zagaił akademii ku czci kolegi Czeskiego, dlatego też pokusił się o naszkicowanie rejestru błędów młodego pisarza. Za najważniejszy błąd uznał niedostateczną indywidualizację postaci, zamazanie ich konturów osobowych, wtopienie ich w zbyt jednolite tło. Po wyliczeniu jednak wszystkich błędów powrócił referent do podkreślenia dużej wartości książki.

Z dyskusją było bardzo źle. Nie wszyscy czytali powieść w odcinku drukowaną w „Twórczości”. Nikt

chyba przed dniem zebrania nie miał w ręku egzemplarza książkowego, chociaż książka ponoć już jest gotowa. Niewiele było odważnych, ale ostatecznie jakoś się „rozkreśliło”. W dyskusji zabierali głos między innymi Jerzy Putrament i Melania Kierczyńska.

B. P.

## Z Filharmonii Warszawskiej

JUŻ od dawna Warszawa nie miała podobnie dobrego koncertu jak ostatni w 1951 r. koncert symfoniczny wykonany w Filharmonii Warszawskiej (21, 22, 23 grudnia). Był on poświęcony muzyce niemieckiej, a dyrygował nim gość z NRD Hermann Abendroth.

Wykonano Karola Marii Webera — Uwerturę „Oberon”, Wolfganga Amadeusza Mozarta — Symfonię Esdura oraz Ludwika van Beethovena III Symfonię (Eroica) op. 55.

Hermann Abendroth jest jednym z najwybitniejszych dyrygentów współczesnych, znanym we wszystkich ośrodkach muzycznych Europy. Jego sposób wykonania klasyków niemieckich może służyć jako wzór doskonałej interpretacji.

Sztuka dyrygencka Abendrotha odznacza się głębokim wniknięciem w intencje kompozytora oraz pełną pietyzmu realizacją. Gestykulacja spokojna, niebawale oszczędna jest zarazem pełna wyrazu, swobody i bezpośredniości. Każdy ruch jest przemyślany i służy podkreśleniu jakiegoś szczegółu, a interpretacja jest pełna siły.

Trzeba przyznać, że rzadko który dyrygent potrafi tak narzucić swą indywidualność orkiestrze i zapanować nad nią jak to zrobił Abendroth. Niestety orkiestra nasza chociaż wykonała bardzo duży postęp (trzeba tu podkreślić naprawdę udane piano) i słusznie została wyróżniona Nagrodą Festiwalu Muzyki Polskiej, nie zawsze jednak wychodziła zwycięsko ze swego zadania. Szczególnie uwydatniło się to w Symfonii Esdura Mozarta (finał). Może wynikało to z nieprzystawiania do sposobu pastelowej, jeżeli tak można powiedzieć, interpretacji, tak bardzo różnej od tej, którą mieliśmy możliwość słyszeć niedawno na jednym z koncertów w Filharmonii w wykonaniu tejże orkiestry. Może z przemęczenia Festiwalu — moim jednak zdaniem przyczyna tkwiła raczej w tym pierwszym fakcie.

Ośrodek zainteresowania i clou programu stanowiła dawno niewykonywana w Warszawie Symfonia „Eroica”. Pierwotnie Symfonia ta była napisana ku czci Napoleona i nosiła tytuł „Bonaparte per festeggioro il sovvenire d'un grand homo” — jednak w chwili gdy dzieło zostało ukończone okazało się, że Napoleon zdradził idee rewolucyjne ogłaszając się cesarzem, fakt ten tak niebawale dotknął wielkiego kompozytora, że podarł dedykację i zmienił tytuł utworu.

„Eroica” jest dziełem, które powstało na skutek bezpośredniego związku kompozytora z rzeczywistością, jest swego rodzaju apoteozą bohaterstwa, wielkiego czynu, który triumfuje nad śmiercią i znikomością. Cechą charakterystyczną „Eroicy” jest to, że w zasadzie treść jej ukształtowała formę. Niezwykle ciekawą nowością w stosunku do klasycznych wzorów jest wprowadzenie do układu symfonii zamiast stereotypowego menuetu — Scherza (które zostało rozwinięte przez kompozytora z niebywałą siłą), a także wprowadzenie marsza żałobnego i wariacji finałowych.

Formalnie pomysiana według ustalonych reguł klasycznych Symfonia swym ładunkiem treściwym i emocjonalnym rozsada zakrojone ramy, dając genialny obraz dramatycznych konfliktów i walki zakończonej zwycięstwem człowieka.

Z. B. K.

## Żeromski i Reymont po rosyjsku

W IADOMOŚĆ, że ostatnio przetłumaczono w ZSRR „Chłopów” oraz niektóre utwory Żeromskiego — po niedawnym ukazaniu się na rynku księgarskim wyboru pism Krasickiego w języku rosyjskim — nie zdziwiła nas zbyt, bo, a tylko ucieszyła. Duże więc zainteresowanie wzbudziło 11 grudnia 1951 r. zebranie Sekcji Przekładów przy ZLP, poświęcone omówieniu radzieckich wydań Żeromskiego i Reymonta.

Przyznać trzeba — i trudno się temu dziwić — że na „pierwszy ogień” poszły utwory mające najmniej wspólnego z „żeromszczyzną” w stylistycznym tego słowa rozumieniu. Tłumacze jednak (Krzyżanowski: „Siłaczka”, „Niedziela” i Tropowska: „Doktor Piotr”, „Ludzie bezdomni”), zwłaszcza zaś pierwszy z nich — zadali sobie niemało trudu nad oddaniem specyficznego zgrzytliwego humoru autora „Popiołów”. — Referując sprawę wspomnianych przekładów, p. Komarnicka uznała za najbardziej udane opowiadania, szczególnie „Doktora Piotra”. Toteż nader przykry zawód sprawiła ta sama tłumaczka swym przekładem „Ludzi bezdomnych”, pozwoliła sobie bowiem tutaj na dość bezceremonialny stosunek do oryginału. Przekład ten,

mający sporą wartość literacką (wyjąwszy idiom, traktowane jako „prywatny” dowcip autora) — oddaje gorzej wszystkie idee oryginalne, wiele opuszcza, a co najdziwniejsze — zawiera niekiedy „wstawki”. Nieznajomość gwary mści się na tłumaczu w zabawny czasem sposób, gdy na przykład — kiedy mowa o warszawskiej „grandzie” — czytamy w tekście rosyjskim: „grandessa”! Uderza również niedbale przetłumaczenie — nielicznych zresztą — wierszy, wplecionych do powieści.

Wyrzucono wszystko, co mogłoby wydać się czytelnikowi — w bardzo szerokim pojęciu — „nieprzyzwoite”. Najlepszą egzemplifikacją będzie tu pominiecie rozdziału ze „swawolnym Dziem”, na co czytelnik polski, przywykły postać tę traktować wprost przysłówiowo, ma pełne prawo szczerze się obruszyć.

Specjalnie zaproszony z Łodzi p. Wyszomirski omówił następnie rosyjskie wydanie „Chłopów” Reymonta. Dzieło to tłumaczyła karaimka z Wilna, Apkina, która — wydawać się może — ma pełne kwalifikacje, aby dać dobry przekład i ona jednak, radząc sobie doskonale z partiami opisywymi, wyraźnie utyka na dialogach. Ani śladu gwary.

W dyskusji zwrócono uwagę na specjalną trudność tłumaczenia gwary Reymonta, będącej — jak wiadomo — stylizacją. Postanowiono jednak wysłać pismo do literatów radzieckich z zapytaniem, jak te zagadnienia są rozwiązywane u nich i załączyć wykaz usterek przekładów z języka polskiego.

(abe)

G. K. Chesterton  
**PRZYGOdy KSIĘDZA BROWNA**  
Nowele  
Cena zł 18.—  
Instytut Wydawniczy „Pax”. Biuro  
sprzedaży. Warszawa, Mokotowska 43  
PKO I-8515

SP. WYD. „PAX”  
Instytut Wydawniczy  
Biuro Sprzedaży  
Warszawa, Mokotowska 43 PKO I-8515  
zawładania, że posiada  
**NOWY TESTAMENT**  
ks. Prof. Eug. Dąbrowskiego  
W OPRAWIE PŁOCIENNEJ  
Cena zł 40.—



# List otwarty do Mr. Smitha

(Dokończenie ze str. 3)

Jakiś pan Brown w „Washington Post” żąda wypróbowania bomby atomowej w Korei... Wypróbowania... Jakże to proste, prawda, Mister Smith? Idzie się do magazynu, wybiera się parę bomb, rzuca się je i po dwóch tygodniach przychodzi się zobaczyć rezultat... Wypróbować... Naturalnie, to nieszczęśliwe wyrażenie odosobnionego wariata, sadysty... Wypróbować... Ależ, Mister Smith, czy to Panu nie przypominają? Nie, nie, to byłoby potworne! Czyżby użycie bomby na Hiroszimę i Nagasaki, było tylko strasznym dowiedzeniem, wypróbowaniem tej nowej broni zagłady?

Mister Smith, to byłoby okropne! Czyżby rzeczywiście trzeba się było tak spieszyć, by czym prędzej pozabijać ponad 120.000 ludzi i okaleczyć trzy razy tyle? Może... może naprawdę trzeba się było spieszyć, bo inaczej wojna z Japonią, by się skończyła i wówczas bomba leżałaby bezużytecznie i nikt o niej nie wiedział, jakie jest jej działanie na setkach tysięcy żywych ludzi...

Ta bezwzględność, to zimne okrucieństwo, ten absolutny brak litości — oto co cechuje żołnierzy amerykańskich w wojnie na Korei. Nie chcę tu przypominać wypowiedzi tych młodych bohaterów w rodzaju Dawida Tatum, który twierdzi, że „jeśli trzeba nam zabijać dziesięciu cywilów po to, by uśmiercić jednego żołnierza, to uważam, że jesteśmy usprawiedliwieni”!

Niestety, Mister Smith, w tej wojnie na Korei, wasi żołnierze nie okazali litości. Nie mieli jej, bo uczucie, że należą do rasy niekończącej wyższej, powodowało traktowanie tubylców jak parazytów psów. Już w lipcu 1950, pisałem: „G.I.-sy”) nie odczuwają najmniejszej sympatii do nędznej ludności, która mrowi się po wsiach i miasteczkach. Osady, przez które przejeżdżają, wydają się im brudne, zardzewiałe, zaniechane, trędowate. I wówczas postępują jak elegant, który podnosi spodnie, by nie zawalać ich w błocie, oglądają się naokoło z obrzydzeniem i niesmakiem, nie chcąc dostrzec na twarzach które cisną się wokół nich nie ludzkiego”.

A kiedy nadeszły dni odwrotu, podczas których tyle wsi i miast zostało niepotrzebnie spalonych, a tyle ty-

sięcy uchodźców postradało życie, pisałem w moim reportażu w „Monde”: „Stało się obecnie jawnym, że interwencja Stanów Zjednoczonych kończy się całkowitą katastrofą, która pozostawia kraj doszczętnie wyludniony, wykrwawiony, wygłodniały, wyniszczony, steroryzowany... Tragedia cierpienia i krwi pisana jest na zgłiszczach trupami kobiet i dzieci, starców i kalek”.

## OPERATION „SANCTUARY”

JAK dotąd, wszystkie organizacje pomocy działającej w Korei okazały się bezsilne wobec ogromu nieszczęść i zniszczeń, jakie spadły na ten umęczony kraj. Jedyłą próbą



Chorąży Dawid Tatum: „jeśli trzeba nam zabijać dziesięciu cywilów po to, by uśmiercić jednego żołnierza, że jesteśmy usprawiedliwieni”.

uratowania ludzi, jaką uczyniono, to przewiezienie około pięciuset tysięcy uchodźców na wyspy Kožo i Szeżu-dzo w styczniu 1951. Nazwano to „operation sanctuary”, albowiem przewiezieni na te wyspy mieli być poza strefą działań wojennych niby w neutralnym sanktuarium.

Któregoś dnia delegat tego Czerwonego Krzyża, o której to instytucji tyle się mówi w Europie, powiedział uchodźcom: „Znaleźliśmy dla was schronienie. Nie jest to nic nadzwyczajnego. Tam, będziecie wam ciągle jeszcze zimno i będziecie cierpieć

głód i niewygody, nie będziecie wam wolno poruszać się swobodnie, będziecie musieli czekać lepszych czasów, niemniej jednak gwarantujemy wam życie”.

I wówczas ci nieszczęśliwcy powstali z ogromną nadzieją w sercu. Nie chodziło przecież o wybieranie między niewolą a wolnością. Proponowano im życie, więc wybierali życie.

Brałem udział w „operation sanctuary” na pokładzie transportowca „U. S. Montague”. Zrezygnowałem z próby jej opisanie, ale całość da się streścić w trzech zdaniach. Transportowiec wylądował na kamienistym brzegu pustej wysepki wszystkich 3.257 niedobitków, którzy przez noc tłoczyli się pod pokładem. Następnie podniósł kotwicę i popłynął do Pusanu po następny ładunek. Kiedy wreszcie, po dwudziestej z kolei podróży, wysepka była ciasno zapelniona czymś, co by można nazwać odpadkami ludzkimi, przerwano wylądunek: operacja „sanctuary” została zakończona...

Widzimy więc, Mister Smith, czego Europa może oczekiwać po interwencji amerykańskiej: pośpiesznej ewakuacji do Islandii lub na Azory niedobitków z tych „bombardowań strategicznych”, które obiecywał nam generał Bradley w swoim oświadczeniu w Londynie z dnia 3 sierpnia 1951.

Dlaczego nie ogłasza się, Mister Smith, bilansu strat w zabitych rannych i zaginionych, ludności cywilnej południowo i północno-koreańskiej, strat poniesionych z racji owych „bombardowań strategicznych”? Czy rozumie Pan teraz, dlaczego z taką niechęcią narody odwracają się od możliwości ewentualnej wojny, która mogłaby przynieść nie tyle wyzolenie, ile totalną zagładę!

Niechęć ta skryształizowała się w entuzjastycznym przystąpieniu mas ludowych do apelu sztokholmskiego, pomimo propagandy, która określiła ten apel jako „manewr komunistyczny”.

## OSTATNIA SZANSA POKOJU

PRZERAŻA nas Pan, Mister Smith, tak jak przeraża nas obraz syna porządnej rodziny, który w najgłupszy sposób marnuje swoje i cudze zdolności. Ale jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze istnieje szansa ocalenia.

Nie będę wychwalał Pańskich dobrych stron, Mister Smith, by nie dolewać oliwy do ognia waszej wybuchowej, amerykańskiej zarozumiałości. Istnieje przecież u was tyle przeróżnych wartości, tyle energii, tyle wspaniałych możliwości, że mimo wszystko, można znaleźć dosyć powodów do optymizmu.

Tragedią epoki są kryzysy dojrzewania. Dojrzewanie waszego narodu podobne jest do dojrzewania młodego psa, który stara się gryźć cokolwiek, bo rosną mu zęby. Przyjdzie wiek, z wiekiem doświadczenie i skromność, których wam tak bardzo brakuje. Wasi lotnicy przostaną spoglądając na niższe światy obojętnym okiem stratosferycznego bombowca. Przestaną myśleć, że z Luwru byłaby doprawdy piękna kupka gruzów i może nawet zrozumieją, że miło jest szukać dawnych pamiątek, jadąc dorożką przez Pola Elizejskie.

Zresztą wojna, o jakiej zamyślacie, minęłaby się całkowicie z waszym celem. Dla Europy znaczyłaby po prostu okupację, rzemie, ruiny, zniszczenia, krwawe zamieszki polityczne, których narody by nie miały siły przeżyć.

Jest rzeczą niesłychanie istotną, by Pan to zrozumiał, Mister Smith, i by ludzie wokół Pana zrozumieli to również.

M.A. Wasilewski

Charles Favrel

## WIECZORY POD LIPĄ

# Książka i plotka

NIERAZ próbowano już układać spisy lektury. Nie sądzę, by komukolwiek przydały się one na coś. Może tam jakiś snob przebrnął przez tak czy owak zestawione „sto największych arcydzieł literatury światowej” czy „sto najlepszych powieści”. Mam jednak poważne wątpliwości, czy w wyniku tej heroicznej próby stał się on na pewno człowiekiem kulturalnym. Sądzę również, że byłoby rzeczą ciekawą wywieść się od owego nieszczęślika, ile razy odkładał „Eneidę” czy „Jerozolimę wyzwołaną”, aby dać jęknąć niższemu instynktowi swej duszy i pogrążyć się „z głową i kopytami” w lekturze Londona czy nawet zgłębić Włullacea.

Ba! ale czy wolno godzić się z tym, żeby ludziska poprzestawali na literaturze nie wybiegającej ponad poziom „Księgi z San Michele” czy „Przemienię z wiatrem”? Byłaby to z punktu widzenia interesów kultury bardzo żalosna rezygnacja. Trzeba propagować arcydzieła literatury, trzeba zachęcać i kusić do nich czytelnika.

Dobrze, dobrze, ale jak to robić? Dyskutowano niedawno na ten temat w „Tygodniku Powszechnym”. Z dyskusji wynikało jasno, że wszelkie spisy lektury „obowiązujące” dla kandydatów na ludzi kulturalnych nie mają wielkiego sensu, że konkretnych rad, jasnych i określonych zaleceń: „Czytaj to a to”, można udzielać jedynie konkretnym osobom po zapoznaniu się z ich przygotowaniem umysłowym i lekturowym, zainteresowaniami, gustem literackim itp. Wszelkie inne porady, jeżeli nie mają być równie skuteczne jak owo przysłowiowe rzucanie grochem o ścianę, ograniczyć się muszą do wskazówek z zakresu techniki i metody samodzielnej pracy umysłowej na terenie literatury.

„Słuszną racją”, jak to mawiają w naszych stronach. Uczymy raczej jak czytać, niż co czytać. To jest zacytowanie od właściwej strony. Później można już to i owo zalecić, wskazać, podsunąć. Najpierw jednak trzeba obciążyć, jak się zabiera do czytania.

Miałem kiedyś w gimnazjum kolegę, który buł ryż, piegowaty, i czytał co mu tylko w ręce wpadło. Równoległe z „Rodem Rodriganda” Maya studiował „Boską komedię”, a tragedie Eurypideusza (w przekładzie Kasprzowicza) przepalał zeszytami Jacka Tęsa. Przeżył bodajże więcej niż wzniesiu jego kolezdy z tej samej klasy, ale nie mu to nie pomogło. Mówił „przyszłem”, pisał „południe” i „tem czasem”, a wypracowanie pt. „Charakterystyka Słrzetuskiego” zaczął następująco: „Słrzetuski jest wzorem polskiego rycerza. Nosił broń i miał narzeczoną Helene...”

Ow kolega pozostał mi na zawsze w pamięci jako reprezentatywny okaz czytelnika-maniaka. Przeczytane bez zrozumienia książki wytworzyły w jego mózgu przerażający wręcz męllik. Popłatał mu się epoki, ludzie, sprawy. Chodził z głową zanurzoną w jakiś fosforujący tunon postaci, intruz i przycóg. Rzeczy tego świata nabierały dlań cech widnowości, stawały się blade i nieistotne. Wicehrabia de Bragelonne interesował go daleko więcej niż dwójka z matematyki; zaprzątnięty przycógami Old Shatterhanda zapominał przygotować się do odpowiedzi z historii; drugie śniadanie odnosił nieknieję do domu, gdyż wszystkie paury (a także niektóre lekcje) rabował mu nieuchwylny Arsen Luwin, któremu przecież sam Sherlock Holmes nie mógł dać rady.

Powie ktoś: „Małoż to wariatów na świecie? Siad ich nie trzeba. Na kamieniu się rodzą”. Rodzą się, rodzą i właśnie dlatego nie można ich lekceważyć.

MŁODZIENIEC, o którym pisze w dzisiejszym felietonie, był typem zdeklarowanego maniaka, okazem klinicznym. Czy na pewno jednak można go uważać za jakiś bardzo wyjątkowy egzemplarz jauny ludzkiej?

Heż to osób dorosłych i skądinąd całkiem rozsądnych przeżywa czytając książki emocje przeważnie tego typu: Co będzie dalej? Ożeni się z nią czy nie? Zławią go czy nie zławią? Heż to nadobnych pań i poważnych panów rozmawia o figurach powieściowych takim samym tonem i w taki sam sposób jak o swoich znajomych: „Po co wychodziła z starego dzinda?”, „Ze też on się nie domyślił!”, „Fajara z tego hrabiego. Ja him, panie, nie patrzul, że to baron; tylko him gawka na zbity łeb ze schodów spuścił”.

Pasjami lubie brać udział w takich rozmowach. Czyż to nie otwiera nowych i jakże oszalamiaciących perspektyw na świat bohaterów literackich gdy naale dowiadujemy się że Tristan był „frater”, a pan Piekwick zrobił aluzję na nie żeniac się z zarno wdowa Bardell C.J. wudalków miał łule, i nie-przymiomyści. Do wiezienia się nawet dostał. No, niech pan sam powie, czy to ma sens?”.

I wreszcie pęka granica pomiędzy rzeczywistością a fikcją: panu Bovary miesza się z ciocią Zosią, co to wyszła za mąż za aptekarza z Kozich Główn (nosił okulary — zupełnie jak pan Piekwick), a tragiczny Heyst ze „Zwy-cięstwa” Conrada z wujem Heniem, który już od trzech lat cierpi na wtrąbkę. Jakaś całkiem do dzieł Tristan i Izolda podobna historia rozegrała się w naszym miasteczku pięćdziesiąt lat temu („On, wie pan, pracował na kolei, a jej mąż miał sklep w rynku, tam gdzie teraz fruzier Myrdalski...”).

Zwyol plotki rozmywa kruche struktury wizji literackiej, porywa jej bohaterów ze sobą. I — vice versa — wpływa w owe struktury, konstytuuje się w nich, oplata wyobraźnią autora powołane do życia figury w gmatwaniu nowych przygód i konfliktów, otwiera przed nimi koncepcje nowych żyć, nowych wcieleń.

Nie jestem bynajmniej ślepy na urok tego scierania się świata iluzji ze światem konkretnym. Cóż tu za masa tematów, jaka powoźdź zagadnień, jakie nieprzebrane bogactwo pomysłów? A czy wreszcie w pewnych konkretnych wypadkach taka konfrontacja bohaterów książki z czytelnikiem nie może być praktycznie użyteczna dla tego ostatniego?

Zapewne. Skoro literatura czernie materiał z życia, czy nie jest zrozumiałe, że w toku artystycznej transformacji tego materiału może wudobywać na jaw a nawet rozwiązywać rozmaite konflikty i zagadnienia, w dziedzinie rzeczywistości praktycznej nieuchwytomione jeszcze i bezimiennie? Korol! Irzykowski widział w tym zdoływanie, ufarzmieniu przez świadomość artysty nowych dziedzin i aspektów rzeczywistości jedno z głównych zadań sztuki.

Jeżeli jednak czytelnik, o jakim była mowa poprzednio, z takich zdoływaczy literatury korzysta, to tylko dorozróżnia i przypadkowo. Jego interesuje przede wszystkim jabuła, podnieca go obserwowanie cudzych kłesk, tarapatów i triumfów. Chodzi mu o arabskie awantury, a nie o zamkniętą w dziele sumę doświadczeń intelektualnych i przemysłowych autora. Ciagle mu się zdaje że rozmaite Belzaki, Flauberty, Dickensy i Tolstoj brali się do piór tylko no to, żeby kogoś „omisać”, „objechać” lub nawet zgłębić „obszeczka”. I donkół tego przesydu nie zdolamy ludzimi wzbudzić z głowy, dla ogromnej większości czytelników książka będzie nadal tylko na wiele stronice rozproszoną plotką o którejś móż się z uznaniem: „Ale to ci fajnie!”, albo „Tego nie odłożysz, donkół nie skończysz”, lub wreszcie: „Słiznel! Caley wieczór płakałam!”.

Bogumil Kolec

## SP. WYD. „PAX” INST. WYD.

### WYSYLA

- C. WROBLEWSKIEJ TEKĘ DRZEWORYTÓW „OJCZE NASZ” Cena 36 zł.
- G. Bernanos PAMIĘTNIK WIEJSKIEGO PROBOSZCZA Cena 27 zł.
- Aleksander Rymkiewicz PRZYGODY GUCIA PINGWINA Cena 10 zł.
- Jullusz Nowak-Dłużewski ST. KONARSKI Człowiek i dzieło Cena 20 zł.
- Graham Greene BRON NA SPRZEDAŻ Cena 22 zł.
- Bruce Marshall CHWAŁA CORY KRÓLEWSKIEJ Cena 20 zł.
- WIERSZE ARKUSZE POETYCKIE Cena 12 zł.
- Jan Dobraczyński KLUCZ MADROŚCI Cena 32 zł.
- K. G. Chesterton PRZYGODY KŚ. BROWNA Nowele Cena 18 zł.
- Jawel Jasienica WISLA POZEGNA ZAŚCIANEK Reportaże Cena 20 zł.
- PO WPŁACIE NA KONTO PKO I-85-15
- SP. WYD. „PAX” INST. WYD. W-WA, UL. MOKOTOWSKA 43 Tel. 880-26

## Malarstwo chińskie „Bóstwa taoistyczne” Epoka Ming

Na smokach,  
na oklep,  
galopem  
z rozwianymi szaty  
pedzą,  
gnają po drogach,  
smoki smagając batem;  
to znowu płyną jak okręt,  
by potem trzciniową miedzą  
pomędzy błota ryżowe  
wpaść  
jak trzech Czangowiec:  
niebieski,  
ziemski  
i ludzki.  
Pędzi, goni nadczłowiek  
Sy-Ming,  
Potwora doświadł,  
otoczony demonów wieńcem.  
Lilczych paszczy osiem  
kły obnaża groźnie.  
Człowiek zgięty pokłonem  
drży przez gniewem bogów.  
Fruną,  
Kuną bestie jak podniebne  
korabie  
ponad tkanin granat i szkarłat.  
Smoki wybiegają z jedwabiu,  
by osłepić cię pięknem i barwą.



## KORESPONDENCJA Z KATOWIC

## BRAKI I SUKCESY

NIEDAWNO wysłuchałem w radio długiej i interesującej pogadanki na temat współpracy Krakowa z Katowicami. Szczególnie cenne były uwagi, związane z uaktywnieniem śląskiego życia kulturalnego; w Krakowie krzewi się bujnie, a w Katowicach ma oblicze suchotnicze. Oby już w najbliższym czasie stało się rzeczywistością marzenie o najeździe krakowskich ludzi na Śląsk, o inwazji teatrów, wystaw, lekkich imprez artystyczno-rozrywkowych, o umasowieniu akcji odczytowych, o zbawiennym poruszeniu ponad setki literatów krakowskich, malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, profesorów.

W pojęciu Krakowa mleści się pojęcie sztuki, historii, teatru, słowem Kraków jest to humanistyka, której tak brak przepojonemu technicyzmem miastu przemysłowemu i jego żelazno-węglowemu zapleczu. Instytucje kulturalne zarejestrowane w Katowicach żyją i pracują, lecz nie są zdolne zaspokoić terenu, który jest chłonny i ogromny pod względem liczby ludności i pod względem jakości potrzeb. Zresztą nie wszystkie żyją i pracują dobrze i z należytym rozmachem.

To ostatnie spostrzeżenie można wysunąć pod adresem organizatorów trwającej aktualnie w Katowicach Wystawy Sztuki Ludowej na Śląsku. Wystawa zareklamowa-

wana przez radio i rozgłoszona specjalnymi afiszami jest imprezą tak mizerną, że ogarnia człowieka melancholia. Na wystawie zaprezentowano dwa powiaty: zawierciański i cieszyński; z terenu tych powiatów ściągnięto od kilkunastu osób t.zw. eksponaty, mające dać wyobrażenie o śląskiej sztuce ludowej w zakresie tkactwa, koronkarstwa, hafciarstwa, ceramiki i rzeźby. Rzeźbę reprezentuje jedynotka, mała figurka „gajdziarza“ z drzewa, wykonana w cieszyńskim; tkactwo, koronkarstwo i hafciarstwo — niewielka ilość zapasek i tkanin, kompletów haftów do koszul, czepców i koronek. Ceramikę potraktowano jeszcze bardziej beceremonialnie: kilka zwykłych garnków, garnuszków, dwojaczków i trojaczków. Prócz tego na Wystawie znajdują się jeszcze dwie pary obójek i kilka kolorowych krajków. I oto macie na czterech ścianach i na podłogach małej sali wystaw artystycznych przy ul. Dworcowej całą śląską sztukę ludową. Ową sztukę ludową tak słynną, tak wspaniałą, tak znaną nie tylko w kraju, ale i za granicą. Gdyby ktoś obcy, albo ktoś zupełnie niezorientowany w bogactwie naszej wytwórczości ludowej, przybył na wystawę, wyniosłoby z niej zupełnie fałszywy obraz o tej tak bogato rozbudowanej dziedzinie twórczości ludowej, pomyślałby, że artystyczny prze-

mysł ludowy na Śląsku znajduje się w zaniedbaniu, albo że jest niezorganizowany, albo że nie ma tradycji, albo że nie jest popierany i pielęgnowany przez czynniki państwowe. Tymczasem jest właśnie odwrotnie. I to trzeba było pokazać na Wystawie tak szumnie nazwanej.

Dlaczego nie pokazano sieci ognisk pielęgnujących sztukę ludową, różnych kursów rzemiosła artystycznego, ludowych spółdzielni artystycznych; dlaczego nie ściągnięto eksponatów z całego regionu śląsko-cieszyńskiego, dlaczego nie ukazano bogactwa form i przejawów ludowej twórczości tego prastarego regionu kulturalnego, twórczości tylekroć omawianej przez fachowców i opracowywanej przez różne instytuty, dlaczego się nie zwrócono o pomoc do kierownictw muzeów regionalnych?

WYSTAWA o takiej nazwie zobowiązuje. Akcji kulturalnych nie można zbywać namiaskami. Trzeba się wysilić, by publiczność naprawdę mogła korzystać. Wystawy mają wzbogacać ducnowo, wzmacniać więzy kulturalne, ukazywać bogactwo kultury narodu, z którego się pochodzi, ukazywać jak to, co ludowe, przekształca się w wartości ogólnonarodowe i ogólnoludzkie.

Na Wystawie widziałem kilka

osób. Kolejarz z żoną; przyjechali pewnie z jakiegoś Szarleja albo z Świętochłowic po zakupy świąteczne i wstąpili na Wystawę. Przeszli po sali, dźwigając swoje naciągane torby. Popatrzyli na siebie, uśmiechnęli się i wyszli: Troje dzieci. Trzymały się za ręce, chodziły po sali. Zainteresowała ich fantastycznej wielkości koszula, rozwieszona na ścianie. „Łobejrzij Klara, tako srogo koszula“. I wyszły; Dwóch studentów. Przeszli w ciągu kilkunastu sekund przez pokój, zapytali ile kosztuje zwiedzanie. Paniuszka powiedziała, że nic. Wymienili z nią sympatyczne uśmiechy i wyszli.

Przyjemniejszą część niniejszej korespondencji zostawiłem na koniec. Związana jest ona jednak z dziedziną życia muzycznego, a nie z artystycznym rzemiosłem ludowym. Świetnie się oto spisują na Śląsku organizatorzy imprez muzycznych, czego dowodzą ostatnie sukcesy śląskich zespołów śpiewaczych i orkiestrowych w finale Festiwalu Muzyki Polskiej, jak wiadomo zakończony w pierwszych dniach grudnia w Warszawie. Już od wielu lat jest rzeczą wiadomą, że prawie najlepiej w Polsce śpiewa i gra śląski świat pracy, zdobywający w urządzanych corocznie ogólnopolskich imprezach artystycznych cenne nagrody. Już r. 1947, w którym odbył się pierwszy ogólnopolski konkurs robotniczych zespołów artystycznych, robotnicy węglowi i hutniczy przywieźli z Warszawy kilka pierwszych nagród. Nagrodzono wówczas i wyróżniono orkiestrę symfoniczną huty „Pokój“, chór mieszany huty „Florian“, orkiestrę mandolinistów kop. „Wujek“ oraz pewnego akordeonistę z kop. „Saturn“. Od tego czasu sieć zespołów śpiewaczych i orkiestrowych pokryła cały Górny Śląsk, a pod względem jakości i poziomu artystycznego postąpiłszy tu jeszcze bardziej w górę.

W tegorocznych eliminacjach festiwalowych brało udział z samego Śląska katowickiego 108 zespołów chóralnych, 24 zespoły instrumentalne i 77 zespołów tanecznych Zw. Samopomocy Chłopskiej, 167 chórów, 239 zespołów instrumentalnych i 324 zespoły taneczne zorganizowane przy świetlicach i domach kultury Zw. Zaw., wreszcie 176 chórów, tudzież 34 orkiestry Zw. Śl. Kół Śpiewaczych. Zważywszy jaka to imponująca suma śpiewu, gry, dobrej duchowej strawy, jaki wspaniały teren wyżyła się artystycznego śląskiego świata pracy. Słusznie na to zwraca uwagę stały korespondent muzyczny „Dziennika Zachodniego“ Józef Michałowski, pisząc, że skoro „każdy chór zobowiązany był dać po kilka koncertów i każdy przy eliminacjach legitymował się liczbą od kilku do kilkunastu imprez“ to według jego obliczeń odbyło się na terenie Śląska „około 3 tys. terenowych imprez festiwalowych, koncertów, wieczorów piosenek i akademii, dla setek tysięcy słuchaczy“. Zaskąguje na najwyższy podziw i najwyższy szacunek ten trud podejmowany przez ludzi, trud wysokogatunkowej pracy dla sztuki i rozrywki. A gdzież jak nie w sztuce, jak nie poprzez uczestnictwo w w życiu kulturalnym najlepiej święci się godność człowieka?

Zbyszko Bednorz

## Z POLITYKI

WYSTAWIENIE  
PRO CROCHU

## NAISŁAWNIEJSZY GENERAL

W niektórych Stanach Ameryki Półn. cudzoziemcy pragnący nabyć obywatelstwo amerykańskie muszą się poddać egzaminowi kultury ogólnej. Po klasycznym dyktandzie i zadaniach, stawia się im pytania dotyczące historii.



Na jednym z takich egzaminów zapytano pewną Węgierkę:

— Jaki jest najslawniejszy general amerykański?

Kandydatka na obywatelkę zastanowiła się chwilę i odparła z przekonaniem i bez cienia ironii:

— General Motors.

## ZŁOSLIWY KOT

Na ostatniej Sesji O.N.Z. w Paryżu, wydarzeniem dnia było przybycie p. Edena, od sześciu lat niewidzianego na forum międzynarodowym.

Smukła, wytwornie elegancka sylwetka angielskiego ministra i jego nieaganne maniery wywołałyby wielkie wrażenie wśród zebranych, gdyby nie nagłe ukazanie się czarnego kota.



Jakiś psotny chochlik kazał zwierzęciu wejść aksamitnym krokiem na trybunę i ocierać się pieszczotliwie o nogi p. Edena. Na sali rozległ się śmiech, co oczywiście speszyło p. ministra.

Dochodzenie wykazało, że kot jest własnością amerykańskiej agencji „Associated Press“, a złośliwi twierdzą iż jest to jeden z epizodów rywalizacji Londyn-Waszyngton.

## NIEPOŻĄDANY AWANS

Egiptski minister Sprawiedliwości, Abdel Fattoh El Tawil Pacha dowiedziawszy się z gazet, że został prze-



niesiony na stanowisko ministra Komunikacji, podał się do dymisji, oświadczając: „Nie chcę się znaleźć w roli zdradzonego męża, który się ostatni dowiadywał o swym nieszczęściu“.

## FILM

## „P o d d a n y“

KTOŚ napisał niedawno że film Staudtego „Poddany“ jest jakby wielkim wstępem do jego wcześniejszych filmów: „Mordercy są wśród nas“, i „Brunatna pajęczyna“. Wstępem — bowiem pozwala zrozumieć genezę opisywanych w tamtych filmach zjawisk.

Zdanie to poza niewątpliwą bezpośrednią słusnością, zawiera jeszcze pośrednią apoteozę powieści Henryka Manna i samego filmu opartego na tej powieści. Z wnikliwością wielki pisarz niemiecki scharakteryzował proces kształtowania się typu niemieckiego mieszczaństwa, z wielkim realizmem pokazał drogę, na której urabiało się środowisko ludzi, którzy mieli stać się wykonawcami koncepcji faszystowskich, jeśli jego powieść można nazwać wstępem do zrozumienia genezy hitleryzmu. Z wielkim talentem i precyzją scenarzysty i reżysera musieli przezniesić powieść Manna na taśmę filmową, jeśli film można nazwać prologiem do innych filmów mówiących o losie hitlerowskich Niemiec.

Film Staudtego ma cechy doskonałej wizualnej konkretyzacji tekstu literackiego. Scenarzysta zastosował metodę podwójnego toku narracji: opowiadania autora, przerywanego bezpośrednim pokazaniem ludzi i spraw o których autor opowiada. Ciężar wartościujący i interpretujący spoczywa przy tym na akcji bezpośredniej. Ludzie i wypadki określają się same, bezpośrednio, w działaniu. Komentarz autorski spełnia funkcję wiążącą i przede wszystkim informującą.

To rozwiązanie, bardzo filmowe w założeniu, ma jeszcze inny sens artystyczny. Powściągliwość narratora, jego ograniczenie się do stwierdzeń, wzmacnia gorzkość satyry,

określa typowość zjawiska i prowokuje widza do samodzielnej oceny, samodzielnych wniosków.

Najlepiej skomponowana i opracowana jest pierwsza część filmu. Autorzy posługując się świetnymi skrótami celnie, z dużym rozmachem rozprawili się ze wszystkim tym, co tworzy genealogię faszyzmu: z systemem wychowania, junkierską ślepotą dyscypliną, beźmyślnym kultem siły, nacjonalizmem, moralnym zakłamaniem, burszowskim prostactwem, tchórzostwem i tępotą. Następujące po sobie, błyskotliwie zmontowane epizody są zwięzłe, jasne, wymowne i tak skomponowane, że każdy z nich jest niezbędnie potrzebny.

DRUGA część filmu od momentu procesu jest już mniej zwięzła, nie operuje skrótami i zestawianiem faktów i fakcików, ale dokładnie opowiada o losach bohaterów. W pierwszej części każda scena nie tylko posuwała dalej akcję, ale była jakimś etapem analizy charakteru i postępowania ludzi. Druga zajmuje się więcej wydarzeniami niż charakterystyką już statycznie pojętych postaci. Proces kształtowania się pewnego typu człowieka został zawarty w pierwszej części filmu. Druga pokazuje działanie, zachowanie urobionego już bohatera. Stąd wynika pewne zmniejszenie napięcia, obniżenie tempa akcji, osłabienie satyrycznej wymowy. Są momenty doskonałe, takie jak powtórzenie sytuacji uwiedzionej i uwodziciela, kiedy dawny uwodziciel powtarza słowa niegdyś posłyszane od ojca dziewczyny, z którą nie chciał się ożenić, lub przekomiczne epizody nocy poślubnej czy sceny z wielkim psem von Wulkowa. Są jednak i wy-

rażne błędy jak przegadane, nadmiernie rozbudowane sceny procesu, niepotrzebny epizod włoski, albo jakby zapożyczony z filmów Rene Claira moment końcowy z pomnikiem, parasolami i samotnym Helsingiem.

Obserwacja reakcji publiczności w pełni potwierdza wrażenie o osłabieniu tempa filmu w drugiej części. Zaczyna on nużyć, satyra już nie trafia, ponieważ w dużej mierze wydrwiwa sprawy poprzednio już wydrwione i zdemaskowane, a rysunek charakterów ustępuje szczególnie analizie wypadków.

„Poddany“ stanowi niewątpliwie najwyższe osiągnięcie „Defy“. Jest przykładem doskonałej roboty na wszystkich szczeblach produkcji. Przemysłany, trafnie zbudowany scenariusz został przez reżysera (i współautora scenariusza) celnie i dokładnie zinterpretowany. Reżyser potrafił ocenić i wyzyskać rolę szczegółów, twórczo skorzystać z możliwości filmowego spoglądania na świat, pokierować mistrzowską pracą operatora tak, by wydobyć maksimum efektu z każdej sceny. Celnie dobierał zespół wykonawców i kierował talentem dobrych aktorów. Muzyka Horst Hansa Siebera, spełnia rolę nie tylko t.zw. ilustracji, ale przede wszystkim świetnego i potrzebnego komentarza, określającego poszczególne sceny.

Film jest dobry i potrzebny. Wyjaśnia procesy, które doprowadziły społeczeństwo niemieckie do wielkiej katastrofy i walcza wszelkie zakłamanie, prostactwo, beźmyślność, karierowiczowstwo, zacofanie. Odważna powieść Manna posłużyła do stworzenia odważnego i wybitnego filmu.

Leszcz